

DZIS I JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok III

Warszawa, 7 grudnia 1947 r.

Nr 49 (106)

TREŚĆ NUMERU: Stanisław Rostworowski — Co to jest miłość. Włodzimierz Pietrzak — Od Barcza do Nikodema Dyzmy, Tydzień kulturalny. Zygmunt Lichniak — Powieść Rembeka. Z zagadnień gospodarczych. Stefan Kisielewski — Zbrodnia w Dzielnicy Północnej. Janina Siwkowska — „Modą jest znajdować się na drodze, którą pędzi szybkobiegun“. Czytelnik uważa, że...“

Wojciech Kęrzyński

WOKÓŁ DYSKUSJI O LIBERALIZMIE

Tym wszystkim, którzy w obozie katolickim szukają przede wszystkim zacisznej przystani przed kłopotami tego świata, którzy postawę katolicką chcą upodobnić do postawy strusiej — tym wszystkim musimy głęboko współczuć, bo nie ulega najmniejszej wątpliwości, że istotnym naszym zamiarem jest ten spokój niweczyć. Spokój wewnętrzny, największy skarb każdego katolika nie ma nic wspólnego z niepokojem myśli. My istotnie chcemy szerzyć niepokoje myśli, my istotnie chcemy rozdmuchiwać ogień wewnętrznych sporów programowych i ideowych, gdyż właśnie w nich widzimy siłę twórczą, potęgę wewnętrzną katolicyzmu. Zastój twórczej pracy koncepcyjnej — to wróg największy obozu katolickiego. Jeśli chcemy się rozwijać — musimy zdobyć się na odwagę przyznawania się do różnic. Oficjalna doktryna Kościoła jest dostatecznie szeroka, by mieścić w sobie najróżnorodniejsze kierunki praktyczne. Różnice w niczym więc jednolitości postawy katolickiej rozbić nie powinny. Musi być tylko poczucie, że przeto obie strony obowiązują pewne zasady postępowania.

Do tego konieczne jest przejęcie nie nawet pracy politycznej — za sadniczą cechą chrześcijańską — miłością bliźniego. Tej cechy niewątpliwie brak jest dziś w postawie wielu środowisk, nawet jeśli w swym programie katolicyzm na pierwszym stawiają miejscu.

W Polsce bardziej niż gdziekolwiek indziej niezbędne jest ożywienie wewnętrznego życia ideowego w obozie katolickim. Nasza twórczość ideowa jest pod wieloma względami w zastojach. Zadań, w których się niedostatecznymi i nie raz przestarzalemi sformułowaniami przedwojennymi, pozwalamy przejmować przeciwnikom ideowym inicjatywę w ręce i godząc się na ograniczenie naszej aktywności do walki z ich sformułowaniami. Jeśli rzucimy okiem na prasę i publicystykę katolicką na zachodzie Europy znajdziemy w niej o wiele większe bogactwo tonów, problemów, o wiele większy wysiłek intelektualny zmierzający nie tylko do zrozumienia lecz opanowania dziejących się przemian. Obok gwałtownych nieraz sporów ideowych w ramach doktryny katolickiej znajdujemy tam również dyskusje z nie mniejszym zacięciem zagadnienie wewnętrzne życia katolickiego. Przez łamy katolickiej prasy francuskiej przewinęły się na przykład ostatnimi czasy dwa kapital-

ne zagadnienia — stosunku inicjatywy duchowieństwa do inicjatywy świeckich w akcji katolickiej oraz problem kapłaństwa, jego zadań, poziomu, sylwetki nowoczesnego kapłana. W Polsce zaś poruszenie tych zagadnień i poddanie krytyce utartych pojęć i zwyczajów spowodowało by w niektórych kołach katolickich najgłośniejsze oburzenie.

WALKA O WŁAŚCIWĄ PŁASZCZYZNĘ DYSKUSJI

Świadomi jesteśmy jednak tego, że w warunkach polskich, biorąc pod uwagę z jednej strony ciasne tradycje naszej publicystyki a z drugiej warunki zewnętrzne — otwarta dyskusja nad sporami merytorycznymi jest niezwykle trudną i drażliwą. Zdajemy sobie sprawę, że polemiki nawet najcenniejsze i najbardziej niezbędne mogą powodować w obozie katolickim sytuacje niesmaczne, lub wręcz skandaliczne, przynosić nie tylko korzyści, ale i niewątpliwie straty sprawie katolickiej. T o problem dojrzałości wewnętrznej publicystów, ulegającej niestety często zakwestionowaniu.

Dlatego właśnie zespół „Dziś i Jutro“, chcąc mimo wszystko wy-

mianę myśli nad zagadnieniami ożywić, występował zawsze o stworzenie innej płaszczyzny wewnętrznej dyskusji, niż łamy prasy katolickiej. Trzeba to dziś stwierdzić głośno, że wszelkie próby tego rodzaju były torpedowane od samego początku.

Nie rościmy sobie bynajmniej pretensji, byśmy właśnie mieli prawo do wyłącznego reprezentowania świeżej myśli katolickiej na wszystkich odcinkach dzisiejszego życia. Nie mniej my właśnie podjęliśmy walkę o stworzenie jej możliwości rozwoju. Stworzone płaszczyzny dyskusji, na której stare i nowe koncepcje miałyby możliwość zderzenia się, bez narażania na szkodę zasadniczych interesów obozu katolickiego, bez narażania jego prestiżu — oto jedną z najpilniejszych zadań do spełnienia. Ponieważ wszelkie dotychczasowe wołania o to pozostały bez echa — trzeba było się zdecydować na rozpoczęcie w sprawach najbardziej palących dyskusji prasowej. Wierzymy, że wcześniej czy później stworzy się inna, może dogodniejsza płaszczyzna.

Rzecz oczywista, dyskusja między środowiskami katolickimi na płaszczyźnie prasowej powinna odbywać się z pominięciem elementów czysto politycznych, tó-

re w obecnej fazie stosunków winny być dyskutowane wyłącznie na płaszczyźnie wewnętrznej. Nie uznajemy też żadnych wycieczek politycznych pod adresem naszych dyskutantów z obozu katolickiego, wszelkie wycieczki polityczne przeciwko nam traktujemy też tylko, jako uchybienia obowiązującej zasadzie.

Dyskusja nie może również dotyczyć się na innej płaszczyźnie, niż między środowiskami, reprezentującymi tylko i wyłącznie własne poglądy. Wszelkie traktowanie własnych koncepcji jako „wypowiedzi autorytatywnych“, gdy chodzi o sprawy wątpliwe — jest oczywistym działaniem na szkodę sprawy, jest podrywaniem autorytetu hierarchii.

KOŚCIÓŁ KATOLICKI — A DWA BLOKI WALCZĄCE

Problem postawiony przez nas w poprzednim artykule, że istnieją środowiska katolickie, które niedostatecznie jasno odgraniczają katolicyzm od obozu materializmu liberalistycznego jest wyłącznie problemem światopoglądowym, a nie politycznym. Istnieją na całym świecie liberaliści, którzy solidaryzują się z koncepcją światopoglądową nie rozumiejąc

tę jako zgodę na linię polityczną Stanów Zjednoczonych. Stwierdzając to pragniemy się odciąć od wszelkich sugestii, byśmy próbowali wmawiać w kogokolwiek orientację polityczną proamerykańską pisząc o problemach de-owych.

Istnieje natomiast nie tylko poważny odłam katolików, którzy holdują niedwuznacznie teorii liberalistycznym w przekonaniu, że nie stoją one w sprzeczności z zasadami katolickimi, lecz istnieje, zwłaszcza w Polsce tendencja do niedoceniań niebezpieczeństwa, grożącego tak potencjalnie jak i faktycznie katolicyzmowi ze strony obozu materializmu liberalistycznego. Traktują oni bowiem cały ten problem przez pryzmat wyłącznie czysto ekonomicznych doświadczeń, nie widząc siły intelektualnej i moralnej, groźnej dla katolicyzmu. Tendencja ta zresztą istnieje nie tylko w Polsce, i problem, który myśmy postawili, stawiany jest i gdzie indziej.

Niewątpliwie daleki od lewicowości katolicki tygodnik francuski — Temoignage Chretien zajmuje się w artykule wstępnym oświeceniem właśnie tego samego zagadnienia. Zaczyna jednak od tego, że nie tai niepokoju, który może wtargnąć do serc katolików na myśl, iż Kościół katolicki może być pomawiany o sprzyjanie liberalizmowi.

„Ponieważ twierdzicie, myśli taki katolik, że istnieją tylko dwa bezwzględni przeciwnicy — chrześcijaństwo i marksizm, a ponieważ z drugiej strony kapitalizm liberalny i faszyzm prowadzą również zaciętą walkę z marksizmem, czyżby Kościół uważał te kierunki za siły chrześcijańskie?“

i dodaje do tego „Temoignage Chretien“ swój własny komentarz: „Jakkolwiek antykomunistyczne byłoby nastawienie katolików, byłoby mu niezmiernie ciężko pogodzić się z tym, by Kościół katolicki sprzyjał potęgze pieniądza wyznawanej przez kapitalizm liberalny“.

Tak jednak nie jest. Publicysta francuski powołuje się tu na wypowiedź Ojca Świętego, który stwierdza, że z punktu widzenia chrześcijańskiego Królestwo Boże nie ma nic wspólnego z zagadnieniem pewnego luksusu życiowego, o który chodzi przede wszystkim kapitalistom. Następującym zaś stwierdzeniem zamyka swe wywody:

„Każdy z tych dwóch bloków (materializm liberalistyczny

Wytyczne

* * *

Weszliśmy w okres Adwentu. Gorączkowe tętno życia, jakim żyjemy, pozbawia nas zupełnie możliwości śledzenia tajemnic roku kościelnego, zagłębiania się w nurt wiecznego życia Chrystusa w Kościele. Jest to wielka strata. Nie wystarczy bowiem wierzyć („i szatani wierzą“ — powiada św. Jakub), że gdzieś poza życiem, poza rzeczywistością dnia jest Chrystus. Życie naszego Zbawcy splecione jest mocno, nierozzerwalnie z naszym życiem. Chrystus jest nie tylko Bogiem pozaczasowym, tkwi także w czasie, naszym czasie, „dostosowuje się“ jeśli tak można powiedzieć, do każdej epoki, zniża się do najędźniejszego nawet dnia słabości ludzkiej. Ewangelia nie jest czymś, co przebrzmiało i ma tylko wartość historyczną. My sami żyjemy w Ewangelii, jej oczekiwaniem, radością, tragedią i chwałą.

Ludzilibyśmy się, gdybyśmy twierdzili, że był tylko jeden, kilka tysięcy lat trwający adwent. W lekcji na piątą niedzielę Adwentu znajdujemy następujące zdanie — „Czas obudzić się ze snu! TERAZ BOWIEM BLIŻSZE JEST NAM ZBAWIENIE, NIŻ WTEDY, GDY DANA NAM BYŁA WIARA“. Oczekiwanie na wiarę już się skończyło. Dziś nie wierzy tylko ten, kto nie chce wierzyć. Ale czy oczekiwanie na Miłość — na tę Miłość, której opiekunem i symbolem jest Duch Święty. — już się skończyło? Na to nam, pokolcniu dwóch przerażających wojen, odpowiedzieć łatwo.

Dm 159/652

W świecie...

LONDYN ZACZAŁ SIĘ...

KONFERENCJA ministrów spraw zagranicznych w Londynie poświęcona przygotowaniu traktatu pokojowego dla Niemiec i Austrii rozpoczęła się pod dobrym znakiem. Tak uważa prasa zagraniczna, komentując pierwsze kompromisy, do jakich doszło między ministrami, dotyczące się uzgodnienia kolejności obrad — to jest spraw porządkowo formalnych. Niewątpliwie pierwszy kompromis, jak również pewne półoficjalne komentarze prasowe, wskazują na dobrą wolę dojścia do porozumienia, ale czy za każdą cenę?.. Rzeczywiste różnice zdań ukażą się dopiero w punkcie trzecim i czwartym obrad, gdy ministrowie zaczną omawiać sprawę struktury politycznej, społecznej i gospodarczej przyszłych, pokojowych, Niemiec. Wtedy dopiero okaże się, jak dalece reprezentanci krańcowych systemów politycznych i społecznych zechcą pójść wobec siebie na kompromisy. Pamiętać należy, iż od urzędzenia wewnętrznej struktury państwa niemieckiego zależy szereg ewentualności: albo Niemcy będą w orbicie polityki Związku Radzieckiego, albo polityki USA, albo będą dzielić świat na dwie połowy, albo też — czego należy sobie życzyć — staną się pewnym czynnikiem koordynacji. Bowiem prawdą jest — co my Polacy musimy specjalnie doceniać, — że od rozwiązania sprawy niemieckiej zależy układ stosunków w Europie, a więc i w świecie.

Pierwsze dni obrad londyńskich zarysowały różnice między mocarstwami w stosunku do problemu granicy wschodniej Niemiec. Molotow i Bidault poparli bez zastrzeżeń dotychczasowe status quo. Bevin wymówił się od sprecyzowania swego stanowiska, zaznaczając, iż sprawę należy przedyskutować raz jeszcze. Wyraźnie zakwestionował tę granicę jedynie Marshall — czyniąc to jednak w formie łagodniejszej, niż zwykli to robić normalnie amerykańscy politycy. Ujmując sprawę zupełnie praktycznie — wydaje się, że nie ma mowy o jakichkolwiek zmianach granicy wschodniej Niemiec. USA zdaje sobie z tego sprawę i argumentu tego używa tylko jako karty w grze o ustroj Niemiec. Charakterystyczną jest akurat teraz ogłoszona korespondencja warszawskiego korespondenta „Associated Press”, znanego Larry Allena, która wyraźnie stwierdza zarówno imponujące osiągnięcia Polski na Ziemiach Odzyskanych, jak i nieodwracalność aktualnego stanu rzeczy.

Londyńska konferencja rozpoczęła się. Nie wróżymy jej zbyt łatwego przebiegu. Prawdziwe kompromisy nie przychodzą nigdy łatwo, lecz one tylko budują rzetelny pokój.

CZY ONZ WYGRA W PALESTYNYE?

SWEGO czasu propozycję podziału Palestyny na dwa państwa: arabskie i żydowskie wysunęła Wielka Brytania. Sprawę Palestyny oddano później pod obrady ONZ, z tym, iż W. Brytania zobowiązała się respektować decyzję ONZ. ONZ wypowiedział się — dzięki porozumieniu ZSRR z USA — za podziałem Palestyny. Tymczasem W. Brytania zaczęła wysuwać obiektywnie najprzeróżniejsze, chcąc opóźnić opuszczenie Palestyny przez wojska brytyjskie. M. In- stwierdza, iż wtedy tylko W. Brytania będzie mogła podporządkować się decyzji o podziale, jeżeli zgodzą się na to Arabi i Żydzi. Tego rodzaju postawienie sprawy uderza w autorytet ONZ. ONZ musi mieć możliwość zmuszenia poszczególnych narodów i krajów do podporządkowania się decyzjom większości Zgromadzenia Generalnego — inaczej nie ma ona żadnej racji bytu. Przed dwoma laty sprawę tę jasno postawił m. In- Wyszyński: „narody muszą zrezygnować z części swej suwerenności na rzecz Organizacji Międzynarodowej”.

i marksizm) głosi własne teorie demokracji, opowiada się za własnymi metodami produkcji i rozdziału dóbr. Na tym właśnie odcinku, jako katolicy nie jesteśmy obowiązani do wypowiedziania się za jednym a przeciw drugiemu z walczących bloków. Nie sposób stwierdzić bezapelacyjnie, iż jeden z nich reprezentuje dobro, a drugi zło. Amerykańska koncepcja rozdziału bogactw nie jest bynajmniej bliższa chrześcijaństwu niżli marksistowska. Jako katolicy jesteśmy przeto obowiązani tu do odrzucenia sugestii o wyborze. Musimy natomiast z całych sił pracować nad stworzeniem własnego porządku społecznego, musimy walczyć o umocnienie pokoju”.

Jak z tej wypowiedzi widać, zagadnienie istnienia na świecie dwóch czy trzech bloków ideologicznych nie jest jeszcze tak proste i oczywiste, by ideologiczne potknięcie się było czymś niebywałym. Ponieważ istnieje na tym odcinku niewątpliwie niebezpieczeństwo nieporozumień, niebezpieczeństwo fałszywego komentowania przez przeciwników stanowiska Kościoła — mamy pełne prawo domagać się sformułowań jasnych i niedwuznacznych. Mamy nawet prawo do czegoś więcej — do żądania podjęcia się przez organa katolickie kampanii mającej na celu uświadomienie błądzą-

Stanisław Rostworowski

CO TO JEST MIŁOŚĆ

„Rozpalone jest w Ogniu słowo Twoje”
Ps. 118—140.

I.

W 1939 r. tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej, nakładem „Głosu Karmelu” w Krakowie, ukazała się książka pod następującym tytułem: „Św. Jan od Krzyża — Żywy Płomień Miłości — Przestrogi — Listy — Poezje”. Przekładu z języka hiszpańskiego dokonał O. Bernard od Matki Bożej karmelita bo-

Musi to więc zrobić tak Wielka Brytania, jak palestyńscy Arabowie, Żydzi, i wszystkie narody w przyszłości, jakie staną wobec werdyktów Zgromadzenia Generalnego ONZ.

TRAGEDIA WE FRANCJI

ZMIANA rządu z Ramadiera na Bluma, a potem Schumana rzecz oczywista nie nie pomaga. Strajkuje już ponad dwa miliony ludzi: w tym kolejarzy, profesorowie wyższych uczelni. Mówi się o strajku policjantów, a nawet powszechnym. Francja idzie do katastrofy, do której pchają ją skrajne siły polityczne, tak z lewicy jak z prawicy, za wszelką cenę chcąc zdobyć władzę. Jest wielce charakterystycznym porównaniem wyników wyborów samorządowych, które były zwycięstwem de Gaulle’a i prawicy z akcją strajkową. Porównanie wskazuje na prosty fakt, iż w strajku muszą brać udział również i ci, którzy głosowali za de Gaullem. Wyścig między cenami a płacami oczywiście nie da żadnego rezultatu, — poza jednym — doprowadzeniem do załamania się przemysłowego Republiki. Francuskie CGT mogłoby wziąć przykład z Polski, gdzie podwyższanie płac uzależnione jest od podwyższenia produkcji. Inne go wyjścia nie ma z tej sytuacji dla żadnego narodu. Ani polskiego, ani francuskiego. A strajkami i fanatyzmem politycznym, wszystko jedno jakimi hasłami się posługującym — nie podwyższy się tej produkcji, a więc nie znajdzie się sposobu, by Francję uratować od katastrofy. Chyba, że skrajne oboje polityczne tego kraju zrozumieją, że dobro człowieka pracy więcej jest warte niż ich wyłączne rządy.

cych o niebezpieczeństwie grożącym Kościołowi od strony materializmu liberalistycznego.

Osobnym bowiem zagadnieniem jest niewątpliwie istnienie w Polsce środowisk hołdujących przekonaniom, że liberalizm klasyczny pogodzić można doskonale z katolicyzmem. Te są przekonane, że społeczna droga katolicyzmu winna dążyć po linii nawrotu do form kapitalistycznych liberalnych, z lekką wewnętrzną korekturą na rzecz sprawiedliwości społecznej. Ludzie ci nie zdają sobie sprawy z tego, że liberalizm a chrześcijańska sprawiedliwość społeczna są dwoma pojęciami nawzajem siebie wykluczającymi. Na marginesie tego stwierdzenia czują się obowiązani do zwrócenia uwagi Stefana Kisielewskiego, że w przeciwieństwie do liberalizmu katolickim nie opiera swej doktryny na wierze we wrodzone dobre skłonności ludzkie. Wręcz odwrotnie Kościół poucza zawsze, że natura ludzka skażona jest grzechem pierwotnym i że tylko Łaska, udzielona za pośrednictwem Kościoła ten stan rzeczy naprawia. Jeśli więc teoria liberalistyczna stoi na stanowisku, że jednostka, byle jej zapewnić swobodę pełną — rozwija się zawsze ku lepszemu, a społeczność, rozwijająca się w atmosferze swobodnego ścierania się interesów — jest społecznością moralną i sprawiedliwą, że nawet

prawda jest wykreślona swobodnie zderzającymi się odmiennymi ideami — o tyle katolicyzm tym teoriom indywidualistycznym liberalistycznym kategorycznie się przeciwstawia. W istocie rzeczy bowiem cała filozofia liberalistyczna jest jedną wielką apologią systemu, w którym zwycięża to co silniejsze a nie to co lepsze. Ani gospodarka liberalistyczna nie może być gospodarką sprawiedliwą, ani społeczność rządząca się zasadami pełnego liberalizmu nie może być społecznością moralnie zdrową. Odrzucając jednocześnie przeciwny kraniec poglądów — totalizm, katolicyzm głosi własną teorię społeczną, skłaniającą się niewątpliwie ku ustrojowi zorganizowanemu i kierowanemu zgodnie z zasadami chrześcijańskimi, pozostawiającemu jednak jednostce dostatecznie szeroką wolność osobistą, by nie zaguszać nadprzyrodzonych elementów osobowości ludzkiej.

Ani dobro jednostki, ani dobro społeczeństwa nie jest w rozumieniu katolickim wypadkową sprzecznych interesów i dążeń ludzkich. Tak życie indywidualne, jak i zbiorowe winno być podporządkowane przykazaniom Boskim i nauce głoszonej przez Kościół. Rzecz oczywista to rozumowanie narzuca szereg zasadniczych tez tak społecznej jak i ekonomicznej doktrynie katolickiej,

też zupełnie sprzecznych z klasycznym liberalizmem. Z mitem o zgodności, czy choćby tylko o pokrewieństwie liberalizmu i katolicyzmu trzeba już dziś zerwać stanowczo.

Znamienne wywody „Temoignage Chrétien” pozwala na postawienie następujących konkretnych wniosków:

1. że z punktu widzenia katolickiego w tezach ekonomicznych i ustrojowych obu obozów materialistycznych mamy prawo doszukiwać się tak samo słusznych, jak i niesłusznych rozwiązań. Zachowując w sprawach generalnych własne, trzecie stanowisko, musimy się zdobyć na obiektywny krytycyzm w stosunku do osiągnięć obu obozów.

2. wszelkie próby ostatecznego przesądzenia stanowiska katolickiego w konflikcie ideowym dwóch materializmów po stronie jednego z nich jest moralnym wianiem Kościoła z obcą mu sprawą. Jest to więc działanie na szkodę sprawy katolickiej, jest przeto niedopuszczalne. W chwili obecnej przede wszystkim właśnie obóz materializmu liberalistycznego dąży do stworzenia wszelkich pozorów wiążących Kościół z jego sprawą, by osłabić tym autorytet moralny katolicyzmu, a wzmocnić swój własny.

Wojciech Kętrzyński

sy. Tłumaczenie prozy wydaje się znakomitem, natomiast hymny w znacznej części straciły na spolszczeniu.

Z powodu kataklizmu wojennego doniosły fakt uprzywilejowania czytelnikowi polskiemu arcydzieła doktora mistycznego, nie został należycie podkreślony, ni omówiony.

Z największą nieśmiałością postaramy się oddać nauki tego, który, na wspaniałym mędrcom tego świata, potrafił wnieść z przyczyną o skutku tego, który, ponieważ był wielkim realistą, stać się mógł doktorem mistyki.

Św. Jan od Krzyża urodził się w Starej Kastylji w r. 1542, umarł w Ubeda 1591 r. przeżywszy lat 49. Gdy porwany płomieniem miłości odchodził, zawołał: „Chwała Bogu”.

Było to ostatnie jego westchnienie w chwili, o przyście której następującymi słowy się modlił:

„...kiedyż ten czas przyjdzie, na który duszę otwieram, kiedy szczęśliwy zawołam: żyję, bo nie umieram!”

(Tras de un amoroso lance)

Prócz poezji i listów, (św. Jan od Krzyża zaliczony jest w poczet wielkich poetów, jakich wydała ludzkość), napisał on kilka traktatów „Droga na górę Karmel”, pogłębieniem jest „Ciemna Noc” z jej sześciokrotnem — NIC, „Pieśń Duchowa” i „Żywy płomień Miłości”, które są komentarzami do wierszowanych jego pieśni.

W r. 1584, a więc na 7 lat przed śmiercią, był św. Jan przełożonym klasztoru w Grenadzie. Klasztor został zbudowany na górze, w miejscu gdzie przez długie wieki stało więzienie, w którym Maurowie trzymali prześladowanych Chrześcijan. Stamtąd rozciąga się bezkresny widok na twierdzę Alhambry, na odległe szczyty gór i ginące w fioleciech doliny. W tych gajach laurowych i oliwnych, w przepychu budzących się zórz (wedle zeznań brata od św. Hilariona, z procesu beatyfikacyjnego) — „klęczał pośród krzewów rosnących nad strumykiem i trwał w rozmyślaniu aż do wschodu słońca...”

Tam też dusza jego rozgorzała „żywym płomieniem miłości”.

Rzecz znamienita, że ten traktat nad traktatami został napisany w 15 dni, podczas pełnienia przez świętego uciążliwych obowiązków przełożonego, co czynił z właściwym sobie zmysłem praktycznym, a wielkie dni jego nie odróżniały się od zwykłych, skoro nikt z braci nie zauważył, że pisze. „Taki dziela”, mówi krytyk, „albo powstaje w czasie bardzo krótkim, albo wcale nie powstają; tu nie ma jakiegokolwiek układania, stopniowego tworzenia; tu jest wybuch ognia, który się dokonuje w jednej chwili”.

X

Celem zapoznania się z psychologią św. Jana od Krzyża, rzucił okiem na kilka, wybranych dowolnie, tak jak prawdopodobnie powstawały, urywków jego twórczości:

„Złożyłem strój odświętny, wzięłem szare suknie...”

Na gałęziach wierzb zielonych powiesiłem lutnię.”

(„Nad Rzekami Babilonii” str. 3.)

„Staraj się załatwić rzecz z p. Gonzalessiem i kupić dom, który jest po drugiej stronie, i robić kontrakt na piśmie... załatw to; często nie można zwyciężyć jednego podstępem bez użycia drugiego.”

„Upoważniam do zawarcia ugody z Janem Sanchez... w sprawie posiadłości...”

„Daję pozwolenie, by mogli przeprowadzić ugody jak to będzie dla nich korzystniej...”

(Z listów do matki Anny i do karmelitów w Fuensanta.)

Posłuchajmy z kolei „Zawieszony lutni”. Jest to „Pieśń o Stworzeniu Świata”, a właściwie pięć strof dowolnie wybranych spośród 78.

„Chciałbym Ci dać, mój Synu, miłą oblubienicę, aby mogła oglądać nas w bytu tajemnicy.”

„By się ze mną cieszyła, zaznała szczęścia technienia na widok twej piękności. Twego ze mną istnienia.”

„Wdzięczny ci jestem wielce — rzekł Syn Ojcu z miłością — Oblubienicę daną okryję mą jasnością.”

„By przez nią oglądała potęgę Ojca mego i poznała tę prawdę, że ja się rodzę z niego.”

„Niech się stanie! — rzekł Ojciec — dla twojej to miłości.”

I przez jedno to słowo wywiódł światy z nicości.”

List św. Jana do uczennicy Joanny Pedraza z Grenady z dn. 12.X.1589 — (doszła ona pod jego kierownictwem do wysokiej doskonałości):

„...Nigdy nie byłaś na lepszej drodze jak teraz. Nigdy bowiem nie byłaś tak pokorna i tak uniżona, nigdy nie miałaś siebie i wszystkich rzeczy w tak małej cenie; nigdy też nie czułaś tak głęboko nędzy swojej, a z drugiej strony — dobroci Bożej, i nigdy dotąd nie służyłaś Bogu tak całkowicie i bezinteresownie, jak to czynisz teraz, nie idąc w niczem za niedoskonałościami swojej woli, jak to może dawniej bywało. Czegoż więc chcesz? Jakichże jeszcze dróg chcesz szukać w tem życiu? Czymże myślisz, że można służyć Bogu jak nie unikaniem złego, zachowywaniem Jego przykazań i przykładaniem się o ile możności do rzeczy Boskich?”

X

Do O. Jana od św. Anny w Ubeda: (prawdopodobnie list ten ma związek z uwieszeniem św. Jana, spowodowanym przez przeciwników reformy Karmelu. Św. Jan zamknięty był o chlebie i wodzie przez 9 miesięcy.) „...Nie martw się, Synu. Nie będą mnie mogli pozbawić habitu bo uczynić to można tylko z powodu uporu czy nieposłuszeństwa...”

Ostatni na krótko przed śmiercią list z dn. 21.IX.1591 r. do Anny de Penalosa: „...Jutro udaję się do Ubeda, by leczyć niedomagania, które od 8 z górą dni codziennie mnie nachodzą. Zdeje się, że trzeba tu będzie pomocy lekarza. Mam jednak pragnienie powrócić tu rychło, gdyż w tej świętej samotności czuję się bardzo dobrze.”

II.

Jedna z pieśni św. Jana od Krzyża nosi tytuł: „Spiew duszy pogrążonej w głębokim zjednoczeniu miłości z

Bogiem”. Objaśnienie strof, natchnionych w czasie modlitwy, zawdzięczamy znanej nam już dobrodziejce zakonu, Annie de Penalosa, fundatorce klasztorów w Grenadzie i Segovii. Św. Jan tak pisze do niej w odpowiedzi na jej prośbę: „Czułem pewną niechęć do objaśnienia tych 4 strof, o które mnie prosiłaś, szlachetna i dostojna Pani, gdyż są to rzeczy na wskroś duchowe, że na ich wyrażenie brakuje słów.” — Niemniej w 135-cio stronicowym komentarzu, który jest arcydziełem prostoty, jasności i nieporównanego daru wykładu, autor wypowiedział niewypowiedziane, objaśniając strofę po strofie i wiersz po wierszu. Komentarz ten jest podróżą w krainy, gdzie mało komu dane jest dotrzeć. Tym światłem nieznanym są: „głębokie otchłanie zmysłu duchowego” (strofa III-69), gdzie dokonuje się misteryum „przemiany w Boga” (Prolog).

X

Streścimy pokrótce wykład tego, o którym powiedziano: „gdzie inni pisarze mistycy zdają się kończyć drogę — on ją zaczyna”.

Owóż św. Jan uczy, że dusza ludzka jest dwójaka: pierwsza działająca przez zmysły (anima sensibilis), druga zdolna do przyjęcia bezpośrednio poruszeń Bożych (anima spiritalis). Do istoty duszy „ani szatan, ani świat, ani żaden zmysł sięgnąć nie zdoła”. Tam, w najgłębszym ośrodku duchowego wnętrza odbywa się „świato Ducha Świętego” — „dusza przemienia się w Boga przez udział w Nim i w Jego przyzniciach”. (Str. 100, III-8).

Jest to „najwyższy stan doskonałości, do jakiego można dojść w tym życiu (prolog). Duch św. przygotowuje duszę „do Boskiego zjednoczenia i przemiany w Boga przez miłość.” (strof. I-19).

Święty doktor Karmelu, ucząc o zjednoczeniu duchowym, odbywającym się w „najgłębszym ośrodku duchowego wnętrza”, wyjaśnia, że jest to nauka przez podobieństwo, dusza bowiem, będąc duchem, nie ma wymiarów (długości, szerokości, wysokości), właściwym jej natomiast jest dążenie przez miłość do Boga. „Im więcej dusza będzie miała miłości, tem głębiej wejdzie w Boga, tem ściślej się z Nim zjednoczy. Stąd więc możemy powiedzieć, że ile stopni miłości Bożej może mieć dusza, tyle również może mieć swych środków w Bogu, jeden głębszy od drugiego. Większa bowiem miłość ściślej łączy z Bogiem, i w ten sposób możemy zrozumieć to, co mówił Syn Boży, że: „wiele mieszkań jest w domu Ojca mego” (Jan 14, 23). Według tego zatem, cośmy powiedzieli, by dusza mogła przyjść do swego środka, którym jest Bóg, wystarczy, aby miała przynajmniej jeden stopień miłości, gdyż przez ten jeden łączy się z Nim przez łaskę. Gdy będzie miała dwa stopnie, łączy się i zjednoczy z Bogiem w drugim, głębszym ośrodku; gdy przyjdzie do trzech, łączy się w trzecim ośrodku, a gdy przyjdzie do ostatniego stopnia, przeniknie ją miłość Boga aż do najtajniejszej istoty duszy, a tem samem przemieni ją i rozpromieni według jej całej istoty władz i sił, w takim stopniu, jak tylko zdolna jest to przyjąć, i sprawi, że upodobni się całkowicie do Boga” (strofa I-13).

Upodobnienie to nie przychodzi od razu. „Ma się tu rzecz podobnie” pisze doktor Karmelu, „jak z drewnem, w którym nie można poznać wilgoci. Dopiero po przyłożeniu ognia do niego zaczyna parować, sączyć wodę i trzeszczeć. Tak również zachowuje się dusza na skutek tego płomienia”. Drewno zaś, gdy je płomienie obejmą i zapalą z zewnątrz, podczas gdy trzon jeszcze nie rozgorzał, stanie się obra-

zem drogi „oświecenia”. „Drogą jednoczącą” jest chwila, gdy drzewo przemienione w ogień w całym swoim jestestwie nie odróżnia się prawie od płomienia. (strofa I-22).

Według św. Jana od Krzyża dusza posiada trzy główne władze, którym odpowiadają trzy cnoty teologiczne: siedliskiem wiary jest rozum, nadziei — pamięć, miłości — wola. W zjednoczeniu mistycznym Bóg daje: Poznanie wg. pełnej zdolności rozumu; Miłość wg. maksymalnej wytrzymałości woli; wesele wg. „największej czystości istoty, zdolności i zasięgu pamięci” (strofy: I-17; III-68).

Dla otrzymania łaski zjednoczenia potrzeba jest, aby nastąpiło całkowite wyniszczenie starego człowieka, Wówczas, w ciszy kontemplacyjnej, często przy uśpieniu jakimś duszy zmysłowej, zwykły Pan dokonywać — w najgłębszych tajnikach jaźni (anima spiritalis) — niepojętych i przeistaczających duchową istotę poruszeń. Poruszenia te tak są silne, że gdyby Bóg cudownie nie podtrzymał sił fizycznych człowieka, „za każdym wybuchem tych płomieni rozpryskoby się życie naturalne duszy i poniosłaby śmierć, nie mając w swej niższej (zmysłowej) części, zdolności na przyjęcie tak wielkiego i tak wzniosłego ognia duszy” (strofa I-27).

Swoją nieśmiertelną traktat nazwał św. doktor Karmelu: „Żywy płomień miłości” — tym płomieniem miłości duszy jest duch jej Oblubieńca, to jest Ducha św. którego czuje dusza w sobie” (strofa I-3). „Rozpala się Duch św. aktami, które w niej wzbudza, a które są żagwiami miłości... dlatego te akty miłości są bezcenne i przez jeden z nich więcej zasługuje (dusza) i więcej nabywa wartości, niżby mogła to osiągnąć przez pracę całego życia”. (ibid.).

„Dusza w tym stanie nie może wykonywać owych aktów, jeśli Duch św. nie działa i nie pobudza jej do nich. Wskutek tego wszystkie jej czynności są Boskie, gdyż jest pobudzona i działa pod wpływem Boga. Stąd wydaje się duszy, że, ilekroć ten płomień gorzeje, napelnia ją miłością pełną słodyczy i Boskiego orzeźwienia i daje jej życie wieczne, gdyż podnosi ją do Boskiego działania w samym Bogu”. — „To upalenie” jest najwyższym stanem, jaki może być w tym życiu — „wniknięciem Bóstwa w duszę”, i zdaje się wtedy „że cały świat jest jednym morzem miłości”. (str. II-8, II-10).

„Inny rodzaj rozpromienienia duszy formą duchową... odbywa się w ten sposób: zdarza się... że ugadza w nią (w duszę) serafin grotem, czy włócznią, rozpalonym ogniem miłości, a równocześnie umacnia cudownym zieleciem i przesywa ją, a rozpaloną już do żaru, lub, by lepiej określić, do żywego płomienia, rozpromienia jeszcze w niepojęty sposób”. (sfa II-9) — Dzieło, którego dokonuje ten serafin, jest: „przeszyciem i zranieniem wewnętrznym duszy. Czasem jednak pozwala Bóg, że i na zewnątrz, w zmysłach, objawia się jakiś skutek jego i wg. wewnętrznego wrażenia ukazuje się również przeszycie i rana na zewnątrz”. (sfa II-13) — „O błogosławiona rano, zadana przez tego, który tylko umie leczyć!” (ibid 8) — rany takie miał św. Franciszek z Assyżu, św. Teresa z Avila i inni.

Rany duszy nie zawsze znajdują odpowiednik w ranach ciała; — przy ciele nietkniętym: „rozkosz może być ujarzma duszę i gdy dobra duchowe jemu się udzielają, wtedy ono ściera cugle i nakłada wędzidło lotnemu rumakowi ducha, i poskramia jego bieg gwałtowny”. (II-3).

III.

Krótki i jasny wykład, czym jest miłość znajdujemy w liście św. Jana „do pewnego zakonnika ucznia swego”, ipisanym z Segovii 14.4.1589 r.

„Wszystkie pociechy, radości i uczucia powstają zawsze w duszy za pośrednictwem woli przez pragnie-

nie rzeczy, które się przedstawiają jako dobre, przyjemne i miłe, i które uważa za pocieszające i o wielkiej wartości”. „Wola „pragnie ich, cieszy się nimi, gdy je ma i obawia się je utracić”.

Jednak Bóg „jest ponad wszelkie pojęcie” — „tak więc jest jasne, że żadną z tych rzeczy, którymi może się cieszyć wola, nie jest Bóg”.

„Dlatego też, aby połączyć się z Nim, należy się wyżyć wewnętrznym uczuciem niepokoju i uwolnić od nich... by w ten sposób wola oczyszczona z wszelkich smaków, upodobań i pożądań niewłaściwych, wszystka zanurzyła się w miłości Bożej”. Boga zatem można kochać, ale tylko przez wiarę, ponieważ nie jesteśmy w stanie Go pojąć.

Miłość jest więc połączeniem Boga z wolą kierowaną przez wiarę; — można też powiedzieć, że: — miłość jest trwałym połączeniem woli człowieka, kierowanej przez wiarę — z Bogiem.

„Przez swe działanie”, pisze św. Jan, „łączy się wola z Bogiem i zostaje w Nim, co jest właśnie miłością”. (list z 14.4.1589).

Św. Jan wielokrotnie podkreśla energetyczny charakter miłości. Mówi on: miłość nigdy nie spoczywa, lecz zawsze działa jak płomień” (Sfa I-8), — „miłość jest zwolenniczką siły, moenych i niepojętych poruszeń”, — „miłość pragnie, by czyn był najkrótszy, gdyż przez to prędzej osiąga swój cel i tem większą ma siłę i znaczenie, im jest szybsza i bardziej duchowa, gdyż siła skupiona jest silniejsza od rozproszonej (I-33).

IV.

Zadaniem filozofów jest badanie przyczyny i skutku, a więc wnoszenie o Stwórcy z dzieł Jego.

To szczerne zadanie nie wystarczy trapienemu wielkimi pragnieniami samotnikowi. Ze zdumieniem słuchamy prostych i miążdzących swym ogromem słów jego: — to co dusza wie o świecie stworzonym „poznając Boga samego, jest o wiele doskonalsze i lepiej go poznaje w Jego niż ich własnym bycie” — „i to jest ogromnym szczęściem tego przez Boga, a nie Boga przez stworzenie, czyli poznawać skutki przez przyczynę, to bowiem jest tylko poznaniem drugorzędnym, a tamto istotnym” (sfa IV-5).

Słuchajmy przeto ze skupieniem wyniszczonego umartwieniem, a przeistoczonego miłością — mistrza. — jego słowa są najwyższym poznaniem: — Oto kilka spostrzeżeń wybranych na chybił trafił:

1. „Płomieniem miłości duszy jest duch jej Oblubieńca, to jest Duch św. (s. I-3). „daje on duszy odczuć to, co ma w sobie życie wieczne”.

2. „Czasem... może mieć dusza stan miłości tak doskonały w tem życiu, jak w przyszłym, lecz nigdy jej aktów i owoców, chociaż i one... są bardzo podobne do tych, które będą w przyszłym życiu”. (I-15).

3. Wpływ ognia na wolę: daje on odczuć woli jej oziębłość, twardość, oschłość, zepsuty stan moralny — stąd ból. (I-23).

4. „Zasłon przeszkadzających zjednoczeniu... jest trzy: czasowa, naturalna, zmysłowa. Przez oczyszczenie duchowe zrywa dusza” dwie pierwsze zasłony. Trzecia pozostaje, uderza na nią promień z wielką gwałtownością, „lecz raczej z przyjemnością i słodyczą”. (I-57).

5. Śmierć duszy doskonałej nie jest śmiercią naturalną: „odłącza duszę od ciała głębokie uderzenie i zaletw miłości... tak iżby mogła zerwać zasłonę (trzecią) i unieść perłę duszy. Śmierć takich dusz jest więc b. lagodna”.

6. Mało dusz dochodzi do stanu zaślubienia. „lecz niektóre doszły zwłaszcza te, których wpływ i duch miał się roznieść na dziedzictwo stuleci.” (II-19).

7. „Kto się chce wznieść do Boga, opierając się na zdolności i rozumo-

waniu naturalnym, nie będzie nigdy prawdziwie duchowym człowiekiem” (II-14).

8. „Dusza przez delikatność swą i całkowite oczyszczenie jest naczyniem przestrzennem i pojemnem”. (II-19).

9. „Chwała, jeśli nie uwielmożni tego, kto w nią patrzy — to go miodzi” (IV-11).

10. „W pełni szczęścia duszy rozlewa się czasem i na ciało namaszczenie Ducha św. Uwesela się wtedy cała istota zmysłowa, wszystka kość i wnętrze, nie tak słabo jak w zwykłej radości, lecz z głębokim odczuciem radości i chwały” (II-22).

11. Siedem oczyszczeń wiedzy do mądrości — odpowiada im 7 stopni miłości (II-29).

12. „Bardzo mało jest tych, którzy zasługują, by dochodzić przez cierpienie do doskonałości” (II-30).

13. Zasługi duszy zjednoczonej i przeistoczonej w Bogu są „ogromne, tak co do liczby, jak i co do jakości” (II-36).

14. Początkującym właściwe jest „rozmyślanie za pomocą rozumowania i wyobraźni” — w tych granicach dusza tylko małą korzyść odnosi. (III-32).

15. „Tego co jest nadnaturalne nie można przyjąć w sposób naturalny” (III-34).

16. „Czysta kontemplacja polega na biernym przyjmowaniu” (III-36).

17. Przeszkodzenie namaszczeniu Ducha św. w duszy wybranej, podobne jest zeszpeceniu arcydzieła sztuki, dlatego strata jest „większa, boleśniejsza i smutniejsza, niż wypadek i zguba wielu zwykłych dusz” (III-42).

18. Pragnienie Boga bywa naturalne i nadnaturalne — to pierwsze „mało, albo wcale nie jest zasługujące” (III-75).

Charakterystyczne i pełne wymowy są obserwacje Św. Jana od Krzyża poczynione z wysokości szczytów duchowych „na żywo” w jednym z wielu „przebudzeń”. „To przebudzenie”, pisze on „jest pewnym poruszeniem, które słowo przedwieczne czyni w samej istocie duszy, z takim majestatem, potęgą i chwałą i z tak głęboką słodyczą, że się jej zdaje, że wszystkie balsamy, wonności i kwiaty świata całego zbiegają się razem, wstrząsają i poruszają, by rozlać swe zapachy i że wszystkie królestwa i księstwa świata i wszystkie władze i potęgi niebios są wprawione w ruch”. „Tam wszystkie te rzeczy zdają się poruszać, lecz również odślanają czerwone blaski swych przymiotów, piękności, wdzięków i źródło swego trwania i życia. Widzi tam bowiem dusza, jak wszystkie niższe i wyższe stworzenia w Bogu mają swe życie, swe siły i trwanie...” „I chociaż jest prawdą, że poznaje dusza, iż te wszystkie rzeczy są odrębne od Boga, gdyż mają być stworzone i widzi je w Nim jako w swej sile, korzeniu i pracy żywotnej, to jednak równocześnie widzi, że to, co ona o nich wie, poznając Boga samego, jest o wiele doskonalsze, i że je lepiej poznaje w Jego niż w ich własnym byciu”. (Sfa IV 4-5).

Tego życia na duchowych szczytach, na pograniczu wieczności, nie może ogarnąć nawet orli Janowy wzrok, choć nie zawodzi go i na tych wysokościach dar kojarzenia i zimnej obserwacji. „Jest niepojętą rzeczą”, mówi On „jak odbywa się w duszy to poruszenie, bo Bóg przecież jest nieporuszalny. I chociaż wtedy Bóg się rzeczywiście nie porusza, duszy jednak się wydaje, iż prawdziwie się porusza” — „Jego oblicze jest pełne Łask. A ponieważ On swą mocą porusza wszystkie rzeczy, więc równocześnie z Nim widzi dusza i to co On czyni i zdaje się jej, że On się porusza w nich, a one w Nim nieustannym ruchem. I dlatego ma wrażenie, że On się poruszył i zbudził, a (w rzeczywistości) ona jest przez Niego poruszona i zbudzona do świadomości”.

(Dokończenie na str. 10.)

W kraju...

Z II KONFERENCJI REKTORÓW I PROFESORÓW WYŻSZYCH UCZELNI

W referacie na temat istoty reformy ustrojowej wyższego szkolnictwa, przewodniczący Rady Szkół Wyższych poseł Sokorski (PFR) powiedział m. in.: „Założenia nowej ekonomiki stanęły w niejednym wypadku w konflikcie z oficjalnie wykładaną ekonomiką, a nowe założenia ustrojowe znalazły się w rozbieżności z oficjalną nauką historii”. Następnie poseł Sokorski stwierdził konieczność zmiany tego stanu rzeczy. Sformułowanie powyższe nie wydaje się nam szczęśliwe. Czytając inne partie wypowiedzi posła Sokorskiego gotowi byliśmy wytworzyć sobie zgoła odmienny, znacznie koryzniejszy, obraz projektowanych reform, i dlatego cytowane zdanie jest przykrym, oby nie umyślnym zgrzytem.

Przewodniczący Rady Szkół Wyższych nie przemawia po raz pierwszy. Znamy jego poglądy na sprawę reform ustrojowych szkolnictwa z licznych artykułów w prasie i wystąpienia sejmowych. Konsekwentna postawa marksisty nie przeszkadzała dotąd posłowi Sokorskiemu w nader oględnym i taktownym traktowaniu tak subtelnych i skomplikowanych zagadnień, jakimi są sprawy nauki i wychowania. Tym razem cytowane sformułowanie razi dużą symplifikacją problematyki, napewno bardziej złożonej niż to wynika ze sposobu ujmowania jej przez posła Sokorskiego.

Mówiąc najogólniej, zagadnienie zostało postawione na płaszczyźnie niewłaściwej. Najpierw sprawa terminologii. — „Oficjalna nauka” — to zapewne nauka głoszona obecnie z katedr uniwersyteckich. Należy uczynić wszystko celem zapewnienia nauce swobody wypowiedzenia prawd obiektywnych. Zatem walka z tendencją, walka o obiektywizację nauki. Oprócz tego udostępnienie praw obywatelstwa na uniwersytetach systemem filozoficznym, dotąd upośledzonym n. p. materializmowi dialektycznemu. W naszych ustach może się to wydawać dziwne, niemniej jest szczerze, gdyż wyznajac prawdę w jedynym i wyłącznym tego słowa znaczeniu — nie boimy się konkurencji. W podobnym kierunku winny były zdążać postulaty posła Sokorskiego. Mówiąc o konflikcie założeń ustrojowych z historią głoszoną z katedr, sugeruje się, że historii może być kilka. Tak nie jest i poseł Sokorski wie o tym również dobrze jak my. Można natomiast historię fałszować i temu trzeba się przeciwstawić. Jeśli chodzi o ekonomikę, którą trudno nazwać nauką sensu stricto to na tym polu należałoby zapewnić wszystkim kierunkom prawo dążenia do możliwie największego stopnia obiektywizacji naukowej bez specjalnego przywilejowania któregośkolwiek. „Nauka jest po naszej stronie” — mówią marksisci. To samo twierdzimy my, katolicy. W zapewnieniu jej jak najbardziej sprzyjających ram rozwojowych tkwi nasz wspólny interes.

„VERITAS” Sp. z o. o.

W-wa, ul. Nowogrodzka 49, I p

p o l e c a :

dewocjonalia, świece
i wydawnictwa kościelneCzytajcie
„SŁOWO POWSZECHNE”

Zapewne, że ze spuścizny literackiej Mostowicza tylko „Kariera Nikodema Dyzmy” ma szansę długiego przetrwania. Inne jego powieści zostaną w pamięci czytelników następnego pokolenia w tej skali, jak we Francji pamięta się jeszcze utwory Paul de Kock'a. Może nadto „Ostatnia Brygada”. „Kariera” z punktu widzenia budowy powieści jest świetnie skomponowana i przoprowadzona. Gorzej jest z charakterami: doskonale postawione, wyraziste i konsekwentne, mają coś ze stylu skorupiaka. Są oparte o pewną konsekwencję, jednostronne, nieco twarde. Nie ma w nich tej odrobiny niekonsekwencji, płynącej z niepokoju, której spodziewamy się przecież w każdym człowieku. Dziś bowiem wiadomo, że charakter człowieka nie jest ścisłym molitem, że rozdzierają go sprzeczności, dzięki czemu nie zawsze można z góry wyznaczyć ludzkie postępowanie. Jeśli jednak z tego zespołu elementów związanych tworzy się siła czynna, dosyć jednolita, to dzięki temu, że istnieje w człowieku wola, podporządkowująca sobie rozbieżności.

„Kariera” jest powieścią o silnym człowieku i o tym, jak do bił się on znaczenia, władzy i zyskiwał w życiu sytuację społeczną. Temat jest doprawdy balzakowski. Zarówno Kaden jak Mostowicz są bliscy Balzakowi. Bohaterowie „Komedii ludzkiej” szukali możliwości w Paryżu — o wiele inaczej niż Fryderyk Morcau ze Szkoły serca Flauberta, który przenosi się do Paryża, dopiero odziedziczywszy spadek, aby go lepiej spożyć. Różnica w psychice czasu... Dyzma jest bliższy bohaterom Balzaca, ale jest od nich o wiele inny. Z Rastignac'ów, z de Marsay'ów ludzi tworzyli salon i buduar paryski — jak maszyny, które przerobiwszy surowiec, dają produkt o większej wartości. Dyzmie pomaga przypadek, i to dwukrotnie: znalezione w tramwaju zaproszenie na raut i gburowata scena z dygnitarzem na rauce, która mu tworzy opinię silnego człowieka. Odtąd powodzenie nie opuszcza Nikodema Dyzmy — do końca. Ten przypadek w początku powodzenia Dyzmy daje całej powieści dyskretny ton groteski, żartu, kpiny, która tym wyraźniejsza staje się przez sarkastyczne portrety bohaterów. Mostowicz kpi ze swej galerii ludzkiej na funty. Ta kpina ma ton satyry, rozprutej na ściegach przez to zatartej, niemniej zjadliwej.

Życie parlamentu, walki polityczne, życie publiczne nieraz cytowało wyobraźnię pisarzy. Disraeli, nim poświęcił się polityce, „Bela” Gireaudoux, „Barcz” Kadena, Balzac, wreszcie strony, które Flaubert w „Szkole serca” poświęcił wspaniałej postaci p. de Dambreuse. „Ileż razy odwiedził p. de Dambreuse rozmaite biura, ile wypisał cyfr, przeprowadził interesów, wysłuchał raportów! Ile się uśmiechał i mówił konceptów, kłamał! Albowiem pozdrowiał okrzykami Napoleona, kozaków, Ludwika XVIII, rok 1830, robotników, wszystkie regimery, młując władze taką miłością, że gotów był nawet zapłacić, byle się sprzedać. Lecz za to zostawił po sobie Fortelle, trzy fabryki w Pikkardii, folwark pod Orleanem, las Cranée w Yonne, znaczne wartości w ruchomościach”.

Najbliższą z tych powieści jest dla Nikodema Dyzmy „Barcz” Kadena. Pozornie wygląda takie zestawienie dosyć niedobrze. Bezpretensjonalna, pozbawiona ambicji, trochę bulwarowa powieść Mostowicza i utwór Kadena, o oficjalnym zaklasyfikowaniu do t.zw. wielkiej literatury, w którym jest cały wysiłek sztuki pisarskiej.

świadczone rzeźbiarstwo — styka ją się jednak blisko przez zagadnienie naczelne: jak człowiekowi dostaje się władza, władza nad organizmem społecznym i nad innymi ludźmi. Co za kasek dla rozważań w sierpniowy wieczór na wsi, w orkiestrze budzących się świerszczy, w powiewie lekkim, gdy słońce żółknie jak cytryna i pióro nad papierem rzuca wydłużony cień! Dwie epoki: lata tworzenia się polskiej państwowości, lata nieuporządkowanych ambicji między wojskowymi i cywilnymi. Między wojskowymi z różnych armii i wreszcie z legionów; lata u schyłku generacji legionowej. Obóz, który przyciągnął Dyzmę, ma w ręku siłę. Stoi przy władzy bez dyskusji. Kruszy się jednak od wewnątrz. Dyzma jest przyciągniętym rekrutem.

W „Barczu” momentem kluczowym są słowa Pycia: „Władza, władza, to trudno... Bez władzy życie by się stało nie do zniesienia”. Brutalna swoboda prawdy, oto cecha charakterystyczna tej książki równie zresztą jak powieści Mostowicza. Między Barczem i Pyciem, Dyzmą i Waredą istnieje pokrewieństwo duchowe mocnych akcentów; brutalnego gestu. Generał Barcz nie jest jednak nigdy ordynarny, jego wnętrzu jest subtelne, jest ciekawe, podczas gdy Dyzma jest chamem na wewnątrz i na zewnątrz, a interesujący jest tylko jako zjawisko, nie jako człowiek. Barcz przeżywa więcej, niż chce objawić. Dyzma mniej, niż wypada mu okazać, niż to quantum, do którego powinien się przyznać. Ale tu trzeba przyznać, że ambicje Barcza są szersze. Jemu chodzi nie tylko o to, aby pochwycić władzę, ale by po krwawej ulwiewie wojny stworzyć państwo o silnym autorytecie władzy. Dla niego i jego ludzi zagadnienie siły władzy, jako ręką mi rozwoju państwa jest moralnym problemem osobistym. „Dla człowieka słowa — mowa o Rasińskim — czy wygramy, czy przegramy — jest grą obrazów”. Dla żołnierzy Barcza jest to także problem istnienia, problem sensu wszystkich ich trudów. Dopiero później, w epoce Nikodema Dyzmy problem ten staje się już tylko problemem kariery. Zarodek tej gonitwy za karierą istnieje już w „Barczu”, nie myślę ani o Wildem, ani o Krywulcie; to porachunki. Myślę o owej szalonej radości Rosińskiego z „odzyskanego śmietnika”. To powiedzenie do brze należy zrozumieć. Zawarta w nim jest cała niechęć pokolenia Kadena do patosu, do romantyzmu frazesu. Ci ludzie, którzy mieli karabin w dłoni, (obojętne jak dalece tym karabinem przy czynili się do zwycięstwa) nie lubią słownej manifestacji uczuć. Zbyt wiele w Polsce cierpiano, aby znieść można było jakiś nowy jeszcze wyraz cierpienia i zwycięstwa. Kadena ma w dużym stopniu tę powściągliwość uczuć, którą potem swoim uczuciom zalecał Peiper, a do perfekcji doprowadził Przyboś. Jest to zresztą powściągliwość perfidna, nałożona na twarz jak kaganiec, ciągle zrywająca się z uwięzi w stygnących z wnętrznego ciepła figurach baroku. Charakterystyczny jest synonim dla odzyskanej ojczyzny: śmietnik. Nie należy w nim szukać znaczeń pejoratywnych. Chodzi raczej o podkreślenie pewnej familiarności, o styl myślenia o własnym kraju jak o rozszerzonym domu; styl trochę małomieszczański. Mieszczanin przede wszystkim chce mieszkać, urządza sobie wygodne gniazdko, pierzyny. Lekceważy walizki, rozumie szafy i łóżka, choćby rozstawione w oficynie, nigdy w hotelu ani nie na mansardzie. Oficyna, strych i węgier na zimę w piwnicy; potem

Włodzimierz Pietrzak

OD BARCZA DO

zaopatrzonej spiżarnia, bielizna pościelowa w szafie; gotówka w pończosze lub stanowisko społeczne, a więc kariera. To samo znaleźć można w najwyraźniejszym epigonie Kadena, w Rusinku. Oto jak mieszczaństwo, które przeszło przez nurt heroiczny, rozumie urządzenie się w zdobytych siedliskach. Nie wysiłek twórczy, lecz dorabianie się, owe otoki wegetacyjne Stachniuka.

Oto grunt psychologiczny uznania, jakie w powieści Kadena znajduje Barcz dla swego programu silnej władzy.

Program polityczny Barcza zrozumieć w sposób właściwy można dopiero w świetle historii. Historyczna szkoła krakowska zwyciężyła w ogólnej opinii, gdy chodzi o poglądy na przyczyny upadku Polski. Brak wojska, brak silnej władzy wykonawczej, przester gaudulstwa w ustroju; potrzeba autorytetu politycznego — z tym wchodziło w nową polską rzeczywistość pokolenie legionów i pokolenie postępowej inteligencji. Zaryzykować można by, że niemożność całkowitego solidaryzowania się z walką parlamentarną, do jakiej przygotowywali się polscy socjaliści, a która tkwiła w Piłsudskim i zmusiła go do zajęcia w polskim życiu publicznym miejsca poza ustrojem, wywodziła się z niechęci wobec tradycji polskiego sejmiku jednomyślnego z XVIII w., wobec komisji i konwentyki sejmiku czteroletniego, których losy i intrzygi opisał tak dokładnie Walerian Kalinka w „Sejmie czteroletnim”. Opinia o walorach polskiego sejmiku była zresztą wyrobiona i zagranicą; jako rzecz ogólnie wiadomą notuje Macaulay w swej wiekopomnej „Historii Anglii” chaotyczny sposób obrad i kłótniwość polskiego parlamentu.

Postawa Kadena wobec problemu rewizji pojęć o ustroju politycznym w naszym pokoleniu, w pokoleniu, które miało lat dwadzieścia do trzydziestu w czasie wojny światowej, da się odnieść z jednej strony do przesłanek historyczno-literackich, z drugiej strony do przeżyć, wynikających z utylitarnej obserwacji życia. Istniały w Polsce przedrozbiorowej, pod koniec pierwszej Rzeczypospolitej, dwie tradycje rządzenia: tradycja sejmiku nieustającego, dającego w pierwszych uchwałach sejmiku czteroletniego do konsekwentnej likwidacji uprawnień króla i władzy wykonawczej na rzecz oligarchii sejmowej i stronnictw politycznych — i tradycja nie co prawda absolutum dominium, tego lękali się nawet twórcy konstytucji 3-go Maja, lecz w każdym razie tradycja wzmocnionej władzy wykonawczej, która swój wyraz znalazła właśnie w tej nie wprowadzonej w życie majowej uchwale. W pierwszej kon-

cepcji kojarzyły się dość rozbieżne wpływy: tradycja przewagi możnowładców, tradycja organizujących władzę królewską pactów conventów z powiewami jakobinizmu z Francji. Z jakobinizmu francuskiego stronnictwo pruskie przyjęło to tylko, co w rozgrywce z Rosją i z królem było mu dogodnie: ograniczenie władzy królewskiej, sprowadzenie roli króla do roli urzędnika prezydenta, do roli ceremonialnej i formalnej, bez wpływu na ustawodawstwo, na rząd i na wojsko. Tyrania władzy absolutnej, owe widmo, które w Polsce od Jagiellonów straszło oligarchię, w połączeniu z tyradami, początkami z ducha Rousseau i encyklopedystów; wolterianie, nienawidzący porządku władzy, lecz kochający swoją anarchię! Między pierwszymi latami sejmiku czteroletniego a Konwencją paryską istnieje analogia: to niemożność do wyłonienia sprężystej władzy wykonawczej. We Francji władza przeszła z ręki klubów i stojącej za nimi ulicy. W Polsce rzecz przebiegła w części podobnie. Bez udziału ulicy projekt konstytucji majowej powstał poza sejmem, niedaleko zresztą kancelarii Stanisława Augusta. Autorem projektu konstytucji, napisanego w języku francuskim i potem dopiero tłumaczonego na język krajowy, był sekretarz królewski, wloch Piatoli. Tak samo autorzy tekstu konstytucji kwietniowej 1934 roku opracowali swój projekt poza sejmem, w kancelarii rządowej.

Konstytucja 3-go Maja, jej myśli przewodnie, nie odegrały w praktyce większej roli i jeśli przeszła w pamięć potomnych, jeśli od ostatnich lat XIX stulecia była majowa rocznica tak uroczyste obchodzona, to raczej przez ceremoniał zewnętrzny, niż przez odczucie jej wartości pozytywnej. Dużo silniej pozostało z konstytucji majowej to, co w niej nie było spisane — myśl krytyczna wobec ustroju, opartego na sejmiku nieustającym. Ta myśl krytyczna odrodziła się potem w pismach Kalinki, Bobrzyńskiego, Korzona; w literaturze dała podstawy pod teorię państwa, sformułowaną przez Wyspiańskiego w „Wyzwoleniu” — silne państwo, takie jak wszędzie, powstałe nie z patosu cierpienia, a z rzeczywistości wniesione. „Wyzwolenie” może nie od razu zyskało wpływ na świadomość pokolenia, ale już przez swe istnienie literackie dawało wyraz nurtów, które tkwiły w generacji współczesnej.

W generacji, która mniej czerpała pokarmu z dzieł polskiej romantyki — nie przywiązywała wagi na codzień do mesjanizmu, a bardziej żyła z filozofii ówczesnej europejskiej. Z lektury Bukle'a, Darwina, Spencera, z teo-

rii ewolucji urządzeń społecznych. Romantyk mógł nie uznawać rzeczywistości, mógł jej przeciwstawić swój ideał. Uczniowie Spencera i Comte'a w aktualnej rzeczywistości widzieli pewną fazę społecznego i cywilizowanego ustroju, nie było sensu jej zaprzeczać, jej nie uznawać. Nie można przecież rzeczywistości, której postać jest sama ogniwem postępu, właśnie w imię postępu nie uznawać. Ewolucjonizm oswajał generację wielkiej wojny z rzeczywistością, uczył ją jak przyjmować warunki zasiane jako pewną konieczność. Była to religia, jeśli tak się wolno o myślach Spencera wyrazić, dogodna dla duszy mieszczańskiej; przynajmniej nie kpiła z jej przyzwyczajzeń, nobilitowała równie czysty zysk jak nadwartości, brud wielkomiejski jak śmietnik.

Postawa Kadena w „Generale Barczu” jest określona przez przeżycia tego typu. W tej powieści nie ma ostrza ani protestu ani ironii przeciw urządzeniom społecznym epoki, są prostru przyjęte jako coś danego. W powieściach Rusinka, pełnych sentymentu i po swojemu rzewnych, będzie nawet tęsknota do bronii, do uliczników, do podwórek, do ciasnych drobnomieszczańskich mieszkań i legowisk, do całej niemożności takiego życia, w którym jedna tylko myśl góruje — jak się wybić, to znaczy, jak poprawić swoje materialne położenie i swoje osobiste znaczenie. Pytanie brzmi: jak się wydestać na ubite ziemie, a nie tak jak u moralistów: jak żyć. Bez abstrakcyjności, bez wątpliwości teoretycznego sumienia. Bardzo praktyczne, i brutalne w końcu, odczucie maszyn życia, życie jako mechanizm w ewolucji, a nie poryw, a nie ekstatyczny wysiłek, o którym pisał Brzozowski w swoich nieukończonych pragnieniach, spisanych w „Pamiętniku” w formie niedokończonego i bezwładnego testamentu.

Osobisty problem Barcza jak się wybić, jak uzyskać władzę i pokonać w sieci intrzy i rozgrywek swoich rywali — Dąbrowę, człowieka silnego lecz pozbawionego inteligencji, miękkiego i chytrego Krywulca, wreszcie cały anonimowy rój cywilów, których nazwisk Barcz ufny w zwycięską i utrudzoną swoją szablę, nie widzi potrzeby ani znać, ani pamiętać, osobisty problem Barcza byłby nieinteresujący i powieść Kadena poszłaby na makulaturę literacką śladem późniejszego Bigdy, gdyby nie to, że w postaci Barcza potrafił Kaden włożyć subtelnie ironiczne tło osobiste i jedno wielkie pragnienie — pozostać w historii. „Barcz” jest powieścią o stawianiu się wielkiego człowieka i dlatego ma nie tylko wartość

FILM

„CURIE - SKŁODOWSKA” i „AWANTURA W ZAŚWIATACH” („Here Comes Mr. Jordan”)

Amerykańska produkcja filmowa cechuje serwizność pomysłów. W okresie wojny została wyprodukowana seria obrazów o bliźniaczo podobnych siostrach. Seria filmowa „Curie Skłodowska” jest pięknie bohaterką z uśmiechem na pięknej twarzy rodzila dziecko, seria biograficzna i seria, gdzie zaczepiano o zaświaty. Oba filmy, które w tej chwili pojawiały się na ekranach Warszawy należą do takich modnych pomysłów Hollywood'u.

W 1946 r. na ekrany brytyjskie wszedł obraz amerykański o siostrach Bronte. Film był nie do przyjęcia. Abstrahując od potwornych

stylizacji strojów i wnętr — sylwetki trzech siostr były banalne, grane zresztą artystek pełna drażniącej egzaltacji.

Film o Curie Skłodowskiej nie będąc tak jaskrawym dokumentem nie ma najmniejszej epoki i sylwetki uczony — grzeszy banalnością i egzaltacją gry. Greer Garson, dobra artystka Hollywoodzka w roli Curie Skłodowskiej czuje się źle. Nie wspomina o kwestii charakterystyki i braku podobieństwa zewnętrznego, które w Polsce raz szczególnie.

Artystka jako studentka startuje dobrze — ale ze wzrostem problematyki pracy naukowej i konfliktów gra jej nabiera niepotrzebnej afektacji. Kontrast załamania się sylwet-

ki uczoney jest tym silniejszy, że Walter Pidgeon w roli Piotra Curie gra inteligentnie i stwarza przekonującą postać.

Charakterystyczne dla biograficznych filmów amerykańskich jest wysuwanie stale tych samych o podobnym klimacie momentów życia. Grę charakteryzuje zawsze typowa sylwetka — a brak wszelkiej indywidualizacji.

Dla kontrastu warto tu zacytować doskonały film angielski „School of Secrets” (Szkoła tajemnic) o badaniach nad radarem. Jego bohaterowie nadwarzają prawdziwe, codzienne, bardzo ludzkie sylwetki. Patos wydobyt jest tak inteligentnie że robi wrażenie efektu niezamierzzonego.

Komedie amerykańskie „Awantura w zaświatach” należą do cyklu któ-

NIKODEMA DYZMY

dokumentu jak Nikodem Dyźma, ale i wartość czystą. Z tego punktu widzenia patrząc, Barcz w tej powieści jest zanadto gotowy. Wchodzi w akcję już przeświadczony o swoim powołaniu i przekonany całkowicie, do czego ma dążyć, — do władzy, aby mocno ująć w rękę ludzką słabość społeczeństwa i utrwalić byt państwa, aby państwu nadać walor siły. Nie ma w nim tych przeżyć moralnych, które rodzą się z wątpliwości, czy jest się uprawnionym, a przynajmniej zdolnym do odegrania roli, którą się sobie przeznaczają. Nie ma też w nim przeżyć etycznych, biorących się z narodzin treści życiowego powołania, z formułowania sobie swego programu, z zakreślenia granic swego dążenia. Wobec kontroli historycznej, nie literackiej, Barcz też jest skorupakiem, zna to jedno: silna władza. Ale w imię czego, jaki jest jego program społeczny, gospodarczy, polityczny wreszcie? Jeśli Barcz jest powieścią a clef, Kaden pod tym względem chyba zubożył Piłsudskiego. W Barczu istnieje niezrozumiała dla współczesnego czytelnika obojętność wobec zagadnienia granic rodzącej się Polski, a poza tym — straszliwa nieczułość wobec krzywdy społecznej wobec nędzy. Jakże inaczej Barcza pisałby Żeromski!

Jeśli jednak dusza Barcza z punktu widzenia psychologii nie jest duszą skorupaka, to dlatego, że Barcz niezwykle silnie przeżywa swą polityczną intrygę i rozumie ją w każdej chwili. Barcz zna źródło swej przewagi. Jest człowiekiem jak wszyscy, równie zdany na zawodność przypadku, na swe niedołęstwo. Ale ma cel, do którego dąży i dlatego umie wykorzystywać każdy przypadek na swoją korzyść. To daje mu siłę i pozwala występować w roli chytrego pogromcy wobec Dąbrowy, w roli silnego pogromcy wobec Krywulki i Wildego, wobec roju cywilów. Można by powiedzieć, że Barcza bawi, iż przeciwnicy go nie rozumieją, że widzą w nim coś nadludzkiego, coś, co narzuca się w sposób imperatywny, podczas gdy w istocie Barcz jest tylko wolą. Tylko wolą, niczym więcej.

Jako dokument socjologiczny powieść Kadena jest przez to ciekawa, że przedstawia obraz narodzin trzonu partii hetmańskiej w nowoczesnej Polsce. Partia hetmańska, skupiona obok Branickiego w czasach sejmów czteroletniego, do władzy nie doszła i podpisała Targowicę. Nowoczesna partia hetmańska Barcza zdobywa w powieści władzę: będzie mogła realizować mit silnej władzy, będzie mogła utrwalić byt państwa. Barcz stanie na czele, Pyć będzie jego szefem sztabu, wierny, niczego dla siebie nie żądający Pyć. Surowy i brutalny stosunek do

rzeczywistości społecznej, ów ton utylitarnego realizmu, równowagi Kaden w estetycznej szacie powieści. Niekiedy ton romantycznej tyrady, z rzadka. Częściej — dekoracyjność, stylizacja, coś po średniego między wiedeńską secesją a posagami bogów i atlasów, podtrzymujących portale brzydkich wielkomięskich kamienie z końca XIX wieku. Nie jesteście dziś wrażliwi na ten gatunek piękna; podziwia się rozmach kadenowskiego pióra, nie zaprzecza mu się ryzyka (bez ryzyka nie ma wielkiego pisarza), ale jest się skłonny uznać, że ryzyko stylu kadenowskiego nie wytrzymało próby nawet tak krótkiego okresu czasu. Już jest zdecydowane. I zarzut tkwi nie w tym, że jest to piękno przeszłe, ale w tym, że minęło tak szybko, że nie przeżyje swego lata klasycznego.

Dzieło literackie ma dwie fazy swego uroku. Pierwszą, gdy zostaje oddane do rąk czytelników, gdy budzi entuzjazm dla nowości, gdy ma siłę wstrząsu i podboju, gdy można je czytać z wypiekami na twarzy, z sercem zmienionym na srebrny popiół. To okres walki i protestu, sprzeciwu równie ciekłego jak przyjazne może być uznanie. I druga, gdy w miarę jak przechodzi czas i nadchodzą nowe pokolenia, dzieło okrywa się patyną klasycyzmu. Jest niedzisiejsze, nie budzi już dreszczów, nie jest sensoryjne ani bolesne. Czyta się tak, jak czyta się list od kochanki po trzydziestu latach. Nie rozumie się już wtedy pierwszego wtrącenia, choć można je pamiętać. Rozumie się natomiast styl, kolor słów, ich rzut. Czyta się ten list niemal z tym smakiem, z jakim pan Bergeret rozczytywał się w aleksandryjskich filozofach. Jakby dojrzałe wino pite powoli, w nastroju uroczystym i ceremonialnym. Nie pije się go dużo, raczej tyle tylko, aby poznać jego siłę, ale nie ażeby się z nim zmierzyć.

Satysfakcja klasycyzmu wyczerpuje się także, z kolei. Szukając satysfakcji literackiej mało kto dzisiaj sięgnie po tom Novelisa czy Schillera, nie mówiąc już o Ariostie czy nawet Boccaciu. Raczej Rimbaud czy Verlaine, o ile i „łkanie skrzypki jesiennej, skrzypki sieroczej” nie brzmi w naszych uszach tym samym tonem głuchego frazesu, co patos Love-lace’a — „nie mógłbym, najdroższa, kochać cię tak bardzo gdybym wyżej jeszcze nie cenił honoru”. Sposób odczuwania i wyraz literacki zużywa się, banalizuje. Wyraz literacki może być bezwzględnie prawdą dla tego kto go tworzy, względnie dla tych, którzy rozumieją jego klimat, jego rowdów. Pustym dźwiękiem dla tych, którzy żyją na zupełnie innym rusztowaniu. Żyjemy inaczej

niż nasi przodkowie. Może oni byli szczęśliwsi, gdyż dla nich filozofia życia tkwiła w przecuciach, w interpretacji uczuciowej świata. My jesteśmy synami racjonalistycznego intelektu i naukowego doświadczenia. Uczucie nazywamy emfazą, sceptyczni od kołyski. Ale właśnie dlatego chyba wolimy od przygód intelektu awantury mechaniczne, szybką jazdę autem, banalne uwiedzenie kobiety, miłość fizjologiczną, a nie erotyczną. Ten dreszcz tylko po wierzchu, nie dozwalamy, aby przenikał nas do głębi. To szkoda, należałoby się wydobyć z zubożenia i zacząć żyć wszystkim. Nie należy siebie oszczędzać. Lepiej, by życie rozsądziło człowieka, niż by go miało oszczędzać.

„Każdy, kto dźwierz władzę i jest zdecydowany używać jej bez przerw i skrupułów, może narzucić swą wolę całemu światu” — napisał Aldous Huxley i to zdanie można by położyć jako motto na „Kariere Nikodema Dyźmy”. „Barcz” jest historią początku, historią fromowania się tej grupy społecznej, która w „Kariere” stoi mocno u władzy, ale już spłoszonymi oczyma Jaszuskiego widzi swoje mane, tekel, choć myśli że z tego też można się wydobyć. Jeżeli nie siła, to wybiegiem. Po zwycięstwie dla ludzi ekipy cały problem sprowadza się do zagadnienia utrzymania władzy w rękę. Zapowiedź Barcza, że silna władza jest po to, aby było silne państwo, uchodzi teraz ogólnej pamięci i uwagi. Po miocie siły zostaje siła tylko jako frazes w przemówieniach, jako deklamacja. Narzędziem działania Kunickich również jak Terkowskich staje się intryga. Intryga posługiwała się już Barcz, a raczej owocami intryg, knutych przez Pycia. Ale teraz wszystko staje się intrygą, wszystko jest okłamane, nieprawdziwe, potworny i dziwny teatr poświęcony kłamstwu, gdzie aktorzy nie są na pensji, lecz opłaca się ich w naturze: powodzeniem materialnym, autami, tartakami kołkami za darmo. Życie, w którym męczą się wszyscy, co tkwią w obrębie tej reguły, od prostyutki Mańki po wiotką postać Niny Ponimirskiej, od biednego naczelnika Boczkę po ministra Jaszuskiego. Jeden Dyźma króluje i panuje, on jeden się nie męczy. Nic nie rozumie i zwycięża, gdyż wszyscy się umówili, aby Dyźma zwyciężał. Człowiek jedyny, który rozumie, że Dyźma jest chamelem i ludzką ropuchą, to wariat Ponimirski, on jeden jeszcze go umiał trzymać na dystans. Grand Guignol, pamflet o sadyzmie, którego odpowiedników szukać można tylko w „Pożegnaniu jesieni” Witkacego. Potworny grymas życia, zrobiony realistycznie, powściągliwie, bez unoszenia się, na zimno z cynizmem. Balzac cynizmu — to Mostowicz. Jest jakaś temperatura Nucingenów w tej powieści. Z zasadniczą różnicą: Balzac portretuje dusze ludzkie w kłębowski społecznym. Mostowiczowi chodzi o rysunek samego kłębowiska. I dlatego udaje się pamflet, nie udaje się literatura, nie całkowicie udaje się artyzm. Literatura to nie jest referat, artykuł czy zjadliwość, literatura to jest rzecz o człowieku, to jest portret ludzki.

Mostowicz miał za mało kultury literackiej, aby zrozumieć że bohaterowie w powieści nie mogą być napisani jako recepta na wady i zalety, jako jadłospis charakteru, lecz jako żywi ludzie —

ich życie musi być ukazane od wewnątrz, pokazane w wahaniach świadomości, w narodzinach woli i postanowienia. Ze — jednym słowem — muszą być naśladowani. Nie kopiowani — naśladowani. Pisarz musi przejść ze swym bohaterem ten sam proces, który życie wytacza człowiekowi, a raczej odwrotnie: człowiek życiu. Jest się wobec życia kimś nieokreślonym, niedokończonym. Stawia się sobie zadania i spełnienie tych zadań nas określa, nas wykańcza w powolnym i pełnym wewnętrznych komplikacji przebiegu. Właściwie nigdy nie jest się przesądzonym w życiu, zawsze za chwilę można się stać kimś innym, zmienionym. I nigdy, czasami nawet i nie w chwili śmierci, nie jest się kimś dokończonym. Śmierć jako koniec jest czymś bardzo formalnym. Są ludzie, którzy umierają tak nagle, tak młodo, że ich życie zostaje zawieszona, ledwo zaczęta, dopiero zapowiedziana. Długi żywot nie jest jednak zasadniczym warunkiem wykończenia profilu, określenia kim się jest. I pod tym względem zachodzi mnóstwo przypadków, kiedy po człowieku zostaje ni to ni owo, coś bez wyrazu. O to właściwie chodzi: aby mieć wyraz, aby wycisnąć po sobie piętno. Nie istnieje zobowiązanie, aby być bohaterem, aby być wielkim, ale każdy człowiek powinien mieć swą odrębność wyrazistą, cechy specjalne wyraźne, dokończone. Takie jest założenie cywilizacyjnej twórczości; tworzyć można tylko ze siebie, z jakiegokolwiek gatunku, z gorącej lawy, nie z amorfii beztreściwej. To jest nie łatwe, być uformowanym, być może. Na tym jednak także polega kultura i ten stan może być osiągnięty przez wolę, przez pracę nad sobą. Tylko wielkość ulega pewnemu niezawisłemu prawu: żeby się dobić wielkości, nie wystarczy wola, to dopiero arrywizm. Jeszcze potrzeba darów nieznanych, z którymi się człowiek rodzi, naznaczenia wielkością. Czy warto takiego przeznaczenia zazdrościć? Z punktu widzenia wygody — nie. Wielkość to trucizna, za nią się płaci. Znieczuleniem na łatwe szczęście, obojętnością wobec łatwej uciechy. Koniecznością pościgu za czymś bardzo trudnym, leżącym właściwie już za progiem. Och, przestąpić ten próg! Wtedy staw, okryty zieloną rzęsą i glonami, przestanie być zastygłym, nieruchomym; odpadnie nieczułość, świat znów stanie się dotykalny, a jednak nie bolesny. W ten sposób się ludzi pociesza: to nie boli. Tak bardzo boimy się bólu, zwyczajnie małe tchórzostwo.

Pamflet. Powstają tu dwa zagadnienia: czy ten pamflet jest sprawiedliwy i jeżeli tak, czy w ogóle inaczej tych ludzi nie można traktować, czy ani na chwilę nie można wierzyć w ich dobre intencje, czy nie można pokazać ich od strony ich wewnętrznej powagi? Bezwzględnie rzeczy biorąc, pamflet nigdy nie jest sprawiedliwy. Rodzi się z krzywdy i jest tym rodzajem walki, gdzie chodzi tylko o wymierzenie zemsty. Dlatego jest bezwzględny, dlatego likwiduje przeciwnika, ośmiesza go, odbiera mu jakiekolwiek prawa. Nikodem Dyźma jako typ ludzki jest nie do obrony. Gdybym miał psychikę adwokata, zdjąłbym toż. Ten nieszczęsny pokraka z malej prowincji sympatyczny poprzez litość tak długo jak był niedołęga, staje się okropny (nie straszliwy, okropny: w nim nie ma nic demonicznego; małe celowe oszustwo, małe celowe kłamstwo), gdy zyskuje znaczenie. Depcze ludzi, jest prowokujący, powinien dostać laskę po twarzy, — przez pół obraza, przez pół cios karzący. Lecz nie on nas

obchodzi, Dyźma to złe widmo. W powieści Mostowicza interesujący jest seans spirytystyczny, na którym takie wywoływano zjawy, świat rządzących, ów świat bez żadnej wiary prócz wiary w butelkę i w to, że jeszcze przez trzy tygodnie będzie się ministrem.

Straszliwością, tego świata jest to, że w nim nie ma w co wierzyć. Ci ludzie nie mają żadnego wewnętrznego mitu, żadnej rzeczy do zrealizowania. Ich koncepcja życia jest fizjologiczna: gabinety hotelikowe, sala restauracyjna.

Dystans między taką koncepcją życia a sprawowaniem władzy jest największą okropnością tej powieści. Mostowicz napisał jednak pamflet nie przeciw ludziom takim czy innym, a przeciw zasadzie rządzenia przez trzymanie za mordę. Czytając Dyźmę, widzi się sylwetę wielu kolejnych premierów po r. 1926. Oskarżenie to nie idzie w stronę I brygady, lecz w stronę całego amalgamatu partii hetmańskiej. Partia hetmańska, popularniejsza pod nazwą sanacji, rosła tak jak tworzone armii napoleońskiej. Przez przemieszanie starych żołnierzy z nowozaciecznymi rekrutami. W armii napoleońskiej amalgamat dawał siłę: w ogniu stary żołnierz uczył młodzika zasad walki i ciągnął go za sobą. Amalgamat sanacji polegał na czym innym: legionistów z okresu Barcza uzupełniali nie młodzikowie, lecz przeciwnie doświadczony wygi. Od wysłużonych żołnierzy uczyli się nie zasad walki, bo znajomość taktyki politycznej posiadali sami w wysokim stopniu, ale sztuki opowiadania o swoich zasługach i stylu Cambonne’a. Łgali jak myśliwi, oszukiwali w życiu publicznym jak fenicjanie w handlu w „Faraonie” Prusa. Byli w pełni fałszerzami wartości.

Widzimy ich w „Kariere” w upadku. Jak rozbiory w XVIII w. potępiły bez ratunku zasadę sejmów nieustających, tak wrzesień 1939 dał ostateczny akcent w sprawie partii hetmańskiej i zasad silnej władzy. Socjologia tych dwu zasad jest już znana z doświadczenia, nie powinna się rozegrać raz jeszcze. Silna władza wykonawcza i owszem; — ale zaprzątnięta realizacją programu ideowego, nie myślą o trwaniu i o wieczności. Oto wynik procesu na linii, łączącej Barcza i Dyźmę, zapowiedź i realizację.

Nie wydaje mi się, aby ludzi z czasów Dyźmy można było w sposób właściwy ukazać tylko w grotesce, tylko w pamflecie. Pamflet jest grą cienia, nie ma w nim miejsca na światło. Dyskusję moralną prowadzi się w pełni wtedy, gdy ją się toczy z człowiekiem wewnętrznym, z tym, co on sam czuje i myśli, a nie z tym, jaki nam się z zewnątrz przedstawia. U Mostowicza ludzie są widziani z zewnątrz, sąd się odbywa bez przesłuchania oskarżonych. Jeżeli literatura jest także jurysprudencją kultury, to powinna uwierzyć w powagę moralną każdego człowieka. Baron de Clappique z Malraux nie jest tylko błaznem. Jest błaznem, bo jest tragiczny, wewnętrznie wyschły — i bo wie o tym. Nie wystarczy go słuchać jak opowiada o swoim zamku i swoich przodkach, trzeba mu zajrzeć do serca, gdy rozmawia z rosjankami, z filipinkami, gdy styka się z jeszcze większą ludzką nędzą.

To, co w Dyźmie jest z pamfletem, jest antybalzakowskie. Najprawdziwszy Balzac to kuzyn Pons i kuzynka Bietka to Rzecki z „Lalki”. Życzliwość wiara w człowieka, kredyt zaufania, że każdym człowieku jest coś więcej niż dobra wola. Zarodek stylu, zarodek postawy moralnej — niedokończony, zniszczony. Możliwość ostateczności

rego najinteligentniejszym osiągnięciem jest obraz brytyjski „Matter of Life and Death” (Sprawa życia i śmierci). Ameryka wyprodukowała film podobny do omawianej komedii ale ciekawszy w ujęciu i pomysły „Angel on my Shoulder” (Anioł na mych barkach), w którym bohatera gra Paul Muni, a przedstawiciela zaświatów Claude Reins (jak widać specjalizuje się w tej roli) odtwórca postaci Cezara w słynnym filmie „Cezar i Kleopatra” o scenariuszu Bernarda Shaw’a.

Wszystkie te filmy cechuje pełne anachronizmów ujęcie zjawisk nadprzyrodzonych. Niestety jako pierwszy z nich ujrzelismy wesoły wprowadzić obraz ale stanowiący najstarszą pozycję spośród trzech tu wspomnianych.

Artyści wywiązują się ze swych ról dobrze — kontrast inteligentnego, interesującego Claude Reins’a z przyćmionym i w istocie o mentalności boksera. Robertem Montgomerym jest w pełni wykorzystany. Drażniące w filmie są te momenty, kiedy akcja schodzi całkowicie na ziemię, znika dobry dyrektor zaświatów i zawiązują się melodramatyczne, źle grane, banalne wątki romansowe.

Warto podkreślić, że oba omawiane filmy reprezentują dwa typy prób wyjścia z szablonów kinematografii amerykańskiej. Pierwszy to usiłowanie sięgnięcia po materiał autentyczny, jakby urealnienie filmu — drugi: to wprowadzenie całkowicie odrealnienia, groteskowej fikcji.

Leszczyński

Tydzień kulturalny

Zjazd Z. Z. L. P.

W PRZEDDZIEN

3 Zjazd Z.Z.L.P., który odbył się w dniach 17 — 19 listopada we Wrocławiu został poprzedzony uroczystościami spowodowanymi otwarciem wrocławskiej radiostacji. W otwarciu wzięli udział prez. Bierut, a jego mowa w studium rozgłoszeń, będąca dużej wagi wypowiedzią ze strony kół oficjalnych na temat spraw kulturalnych, była niejako zagajeniem zjazdu. Na raucie wydanym tegoż dnia przez Polskie Radio zabrał głos imieniem literatów Iwaszkiewicz, wyrażając nadzieję iż Prezydent, mówiąc o planowaniu w literaturze, nie ma na myśli planowania mechanicznego, a jedynie pewnego rodzaju przygotowanie młodzieży studiującej polonistykę do wymogów chwili. Odpowiedź Prezydenta Bieruta odznaczała się bezpośredniością. Prezydent podkreślił, że planowanie w literaturze musi być zgodne z charakterem artystycznym literatury i jej wymogami. Zwrócił uwagę na marginesie swych wspomnień osobistych, na konieczność tworzenia wielkiej sztuki dla mas, bez uciekania się do naiwnej dydaktyki, i do, bezwartościowej najczęściej popularyzacji.

OTWARCIE

Zjazd otworzył Stanisław Łoś prezes oddziału wrocławskiego ZZLP, oddając przewodnictwo w doświadczonych ręce Iwaszkiewicza. Przemówienie powitalnych było nieco dużo (co aż uspiło asessorującego przy stole prezydiatnym Jastruna). Mówili kolejno min. Dybowski, wojewoda wrocławski, przedstawiciel pisarzy czechosłowackich p. Nor, przedstawicielka pisarzy bułgarskich, wielu, wielu rozmaitych panów. P. Dembińska dyrektorkę Czytelnika i przedstawicielkę związku wydawców reprezentował nieznaną osobnik w spodniach. Przemówienie trwające małe półtora godziny wygłosił p. Michalski dyrektor departamentu literatury i książki, zapowiadając m. in. (oby! oby!) akcję wysyłania pisarzy w teren do fabryk, kopalni, na okręty itp. dla zaznajomienia ich z życiem nowej rzeczywistości. Natomiast zdanie, że pisarze powinni mieć „drugie zajęcia” bo bez tego nie znają życia, „jak zgrzyt żelaza przejął wszystkich dreszczem”. Przedstawiciel Kom. Cen. Z.Z.Zaw. p. Sokorski mówił jak zwykle ciekawie — i także poruszył sprawę udziału pisarzy w życiu społeczno-gospodarczym kraju (sprawa wydaje się więc na dobrej drodze. Zdaniem naszym tylko w ten sposób można doprowadzić pisarzy do zajęcia się pisaniem o troskach codziennej rzeczywistości. Żądanie by uganiając się za każdym groszem, w trosce o własny dzień powszedni, nie wystawiając nosa poza miasto, w którym mieszka—bo o to starają się PKP — mógł wiedzieć jak wygląda życie w fabrykach, warsztatach, stocznjach, dokach itp— jest żądaniem niewykonalnym. Pisarza na frant — hasło słuszne. Pod jednym tylko warunkiem: od pisarza nie można żądać, aby pojechał na koszt któregoś z ministrów, dajmy na to do kopalni węgla i zaraz o tym napisał. Jeśli to zrobi, będzie to reportaż. Otóż chodzić powi no o to, aby pisarz utrwał swe wrażenia w czymś trwałszym niż reportaż. Poza tym p. Sokorski powiedział nieoczekiwanie — i jak się zdaje najzupełniej słusznie, że dzisiejszy czytelnik - inteligent szuka w powieści „ostre profile” psychologiczne i często znajduje je w powieściach historycznych”. Zdanie p. Sokorskiego przeciwstawia się zdaniu np. Żółkiewskiego, który wyraźnie lekceważy powieść historyczną, uważając ją za przejaw „fałszy-

wego humanizmu” (o tym zresztą za chwilę). Ostatnim przemówieniem było przemówienie przedstawiciela „Filmu Polskiego”. Odznaczało się ono rozmachem, wielokrotnym powtarzaniem zwimka „ja” oraz oszalałymi obietnicami. Stu literatów niech zaraz przyjdzie do filmu — wołał mówca. W posłowniu Iwaszkiewicz zaproponował, aby jednak jeden film przyszedł do stu literatów...

WIELKA DYSKUSJA

Pierwszego dnia usłyszano jeszcze referat Z. Hierowskiego o kulturze na ziemiach odzyskanych. Poza tym miały miejsce sprawozdania ustępującego zarządu i kolacja wydana na cześć literatów przez wojewodę wrocławskiego. Dzień drugi rozpoczął się referatem Żółkiewskiego o problemach literatury współczesnej. Ciekawość ten referat, którego oczekiwało z dużym napięciem, składał się z trzech części: w pierwszej Żółkiewski dzielił literaturę na pesymistyczną (np. egzystencjalizm), której się wyrzekł i na optymistyczną, której chwalił; w drugiej: mówił o zdrowych i niezdrowych tendencjach literatury współczesnej — optymistycznej; w trzeciej wreszcie wysuwał cały szereg praktycznych uwag, wniosków i tez.

Referat był nie tylko ciekawy, doskonale wypowiedziany, ale, jak słusznie powiedziała w dyskusji Zawieyski, w 3/4 zgodny ze stanowiskiem tak ze katolików. Kwestionowana 1/4 odnosiła się do skrytykowanego przez Żółkiewskiego „fałszywego humanizmu”, który zdaniem redaktora „Kuźnicy” fałszuje przeszłość, wypycha człowieka w „niewolę grzechu”, sprzyja wreszcie tendencjom imperialistycznym. Zawieyski przeciwstawił się mocno nazywaniu humanizmu katolickiego humanizmem fał-

szywym oraz imputowaniu mu cech nieprawdziwych. W tym samym duchu mówili Dobraczyński i Turowicz. Żółkiewski tłumaczył, że mówiąc o fałszywym humanizmie nie miał na myśli każdego humanizmu katolickiego, a jedynie taki, który „diabła nie nazywa diabłem” (o czym to nie mówią nasi marksściści!). Wat nazwał, nie bez słuszności, dwugłosem Żółkiewski — Zawieyski dwugłosem historycznym na miarę średniowiecznych starć papieża z cesarzem. Rozkoszny prowokator Kisielewski w dowcipnej przemowie stwierdził, że głoszone przez Żółkiewskiego realizm nie jest właściwie żadnym realizmem, ponieważ Żółkiewski uznaje tylko realizm optymistyczny, „idealistyczny”, pozostawiając cienie... cenzurze. Polewka i Hołuj oburzali się bardzo na Kisielewskiego, ale merytorycznie mu nie odpowiedzieli. Może to było zresztą wynikiem tego, że Kisielewski przed tym w kuluarach „wyborował” wszystkim rozmówcom dziurę w brzuchu. Inne przemówienia obracały się wokół sprawy położenia pisarza — zwłaszcza ciekawym i wyczerpującym było przemówienie Skierskiego. W trakcie najżarliwszej dyskusji J. A. Król wygłosił krótką godzinę trwającą przemówienie, w którym omówił sprawę chłopską w rzucie retrospektywnym od Piasta aż do Króla. Przemówienie wyczerpało zarówno temat — do którego nikt już chyba nie będzie miał nic nie dodania — jak i słuchaczy...

CLOU ZJAZDU

Ale „clou” Zjazdu to była nie wielka dyskusja ale — referat Brzechwy o solidarności pisarzy. Brzechwa zupełnie słusznie zwrócił uwagę, że katastrofalne położenie, w jakim znajdują się pisarze, spowodowane jest w znacznym stopniu tym, iż się wzajemnie „unicestwiają”.

Artykuły w stylu słynnego artykułu Kotta, w którym „zjechało” została cała literatura polska prowadzą do tego, że skołowany czytelnik przestaje w ogóle czytać książki, a bierze się do „co tydzień powieść” lub czegoś podobnego. Brzechwa rzucił wezwanie o rzeczową i spokojną krytykę o dbanie o interesy całego klanu pisarskiego. Miało to swój skutek. Zjazd od drugiego dnia odbywał się w atmosferze coraz bardziej rosnącej w temperaturę „kochajmy się”. W końcu, na pożegnanie, odbyło się powszechne całowanie: całował się Zawieyski z Żółkiewskim, Otwinowski z Dzikowskim, Brandys z Dobraczyńskim, Kisielewski z Dygatem, Turowicz z Polewką, Czachowski z Melcer — tylko Iwaszkiewicz zachował „splendid isolation”...

Całowanie całowaniem. Może nie zawsze było zbyt szczere. Ale myśl jest słuszna i atmosfera jaka powstała na trzecim zjeździe raczej przyjemna. Ostatecznie nikt nikogo nie przekonał, ale pokazało się, że można reprezentować rozmaite poglądy a rozjechać się w zgodzie i harmonii.

WIZYTY I IMPREZY

Pisarze katolicy w składzie: Zawieyski, Turowicz, Dobraczyński, Rymkiewicz, Kierst i Łoś złożyli wizytę Administratorowi Apostolskiemu Dolnego Śląska ks. Prałatowi Milikowi.

Wszyscy pisarze byli goszczeni u wojewody śląskiego i u prezydenta miasta Wrocławia.

Ostatniego dnia zjazd odbył się publiczny wieczór literacki wszystkich biorących udział w zjeździe poetów. Impreza cieszyła się niebywałym powodzeniem: młodzież wrocławska nie mogąc się inaczej dostać na salę wyłamała kratę i zdemolowała „teatralki i aktora”... Swoje poezje czytało 14 poetów, dając publiczności wrocławskiej wspaniały przykład,

jak należy pisać wiersze i jak nie należy ich czytać.

Na zakończenie literaci byli w teatrze na „Obywatel inspektor przyszedł”. O tym co w teatrze widzieli lepiej nie pisać. Nasi gospodarze wrocławscy byli tak mili, że wstyd by było naprawdę robić im przykrość...

WYBORY

Wybory do nowego zarządu odbyły się jednogłośnie. Prezesem został Iwaszkiewicz (kandydatka Nałkowskiej, nieobecnej na zjeździe upadła w rozmowach kuluarowych — tak to raz się jeszcze potwierdza prawda, że nieobecni nie mają racji...) Członkami zarządu: Zawieyski, Żółkiewski, Żuławski, Szewczyk, Rusinek, Wyka.

—oO—

WZMOCNIENIE POZYCJI

Stanowisko Niemców, odrzucających swoją winę i szerzących propagandę, że zostali „skrzywdzeni” nie uległo zmianie. Nawet w niemieckich kołach katolickich słyszy się tego rodzaju głosy. Samotnie zabrzmiął artykuł O. Haksa Psibilli S. J. „Wie war es möglich” — będący gruntowną krytyką bezczelności, ślepego posłuszeństwa i tchórzostwa niemieckiego. (w „Stimmen der Zeit”). Na ogół jest wręcz przeciwnie. Propaganda niemiecka wykorzystuje niemiecki katolicyzm dla swoich celów. Wzmacnia się nacisk na Watykan. Wzrosła wydatnie liczba księży Niemców, studiujących w Rzymie. W Biblicum Niemcy pod względem liczebności są na 5-y miejscu po Amerykanach, Francuzach, Włochach, Belgach (w zeszłym roku to miejsce zajmowali Polacy, w tym spadli na 9-e za Anglikami, Czechami i Słowakami, oraz Litwinami). Istnieją próby przeszkodzenia w podjęciu procesu beatyfikacyjnego. (który ma być już za parę tygodni podjęty). O. Kolbe ze względu na to, że bohatera franciszkanin został zamordowany przez Niemców w Oświęcimiu.

Wędrowki po scenach polskich

„PAN INSPEKTOR PRZYSZEDŁ...” I BRZYDKO NAM GROZIŁ!

W Burmley, fabrycznym mieście północnej Anglii, mieszka sobie ogólnie znana i poważana rodzina Birling.

Papa Arthur Birling, ex burmistrz a obecnie ławnik, wyznaje teorię, że w życiu „wystarczy dbać o samego siebie”. Dzięki ścisłemu przestrzeganiu tej zasady posiada dość duży majątek, pozycję w mieście i ma nadzieję wkrótce zostać z łaski królewskiej „na razie tylko baronetem”. Między wielu innymi świństwami, poświadczonymi przez niego w dotychczasowym życiu, godnym zanotowania jest fakt zwolnienia z pracy dwu dziesięcioletniej dobrej pracownicy, Ewy Smith, za podżeganie koleżanek do strajku, którego celem była chęć wymuszenia na pracodawcy drobnej podwyżki za ciężką pracę.

Mama — Sybilla Birling — w pierze dumy porośla, a w pióra ptasie ubrana nowobogacka „godnie” piastuje urząd pani domu, tudzież przewodniczącą komitetu pomocy znajdującym się w nędzy kobietom. Konto mamci obciążone jest równą w stylu sprawką (znowu zapewne między innymi): spowodowaniem odrzucenia prośby o pomoc pieniężną, którą to prośbę wniosła przed wysoki aeropag biedna dziewczyna, znajdująca się, z łaski jakiegoś gogusia, w ciąży. Dziewczyna prosi o pieniądze

1) Państwowy Teatr Polski w Warszawie. J. B. Priestley — Pan Inspektor przyszedł. Sztuka w 3 aktach.

społeczne, gdyż nie chce przyjąć innych, ofiarowywanych przez ojca jej dziecka, a pochodzących z kradzieży.

Córka, Sheila Birling, zdaje się mieć nieco więcej oleju w głowie, a w sercu odrobinę ciepła, stłumionego niestety histerią, wynikłą ze złego wychowania. Ona to, dla swego kaprysu, w głupiej złości, spowodowała wyrzucenie na bruk Bogu ducha winnej ekspedientki ze sklepu mód.

Następca tronu — Eryk Birling smarkacz 24-letni, lubi wódkę, lubi dziewczynki, — a ponieważ na te luksusy potrzebne są pieniądze, podkraja je z kasy papy. Jedno ze swych pijaństw kończy nocą przespaną z nieznaną dziewczyną, zostawiając jej w upominku ciążę.

Właściwa rodzinka w komplecie. Pozostał jeszcze kandydat do wejścia w to grono, Gerald Croft, narzeczony Sheili, syn bogatego przemysłowca, z zasad kontynuator tradycji Croftów i Birlingów. Elegancki Gerald, w okresie dużego natężenia miłości do Sheili, — na całą wiosnę i lato przygruchał sobie w nocnym lokalu dziewczynę. Podobało mu się być dla niej królewiczem z bajki, tak się swoją rolę przejął, że istotnie był dobry i troskliwy dla dziewczynki, z której zrobił sobie kochankę, ale, ponieważ wszystko musi mieć swój koniec, wreszcie rzucił ją i wrócił do narzeczonej.

Oczywiście, żadnej z osób tu przedstawionych w głowie nie powstała myśl, że do wymienionych wydarzeń należy przywiązywać jakąś wagę, że trzeba o nich pamiętać. Sumienia

twarde nie przejmują się byle czym. W przekonaniu swoim cała piątka jest porządna, uczciwa i godna szacunku. Każdy tu opowiedziany czyn znany jest właściwie tylko ofiarcom, bo jeśli sami sprawcy nie pamiętają, trudno, by wiedzieli najbliżsi. Fakty wspomniane w zasadzie nie kolidują z prawem, tylko z moralnością — a ta jest dla nich czymś względny.

Jak już się rzekło, nic nie zakłóca sumień tych osób. Poznajemy szanowne grono po podniesieniu się kurtyny, w pełnej miłego nastroju sielance. Kończy się właśnie udana kolacja, urządzona z okazji zaręczyn Geralda z Sheilą.

I nagle niespodzianka. Sielankę zakłóca inspektor policji Goole. Mogło się tak przecież zdarzyć, że pięć ofiar pięciu sprawców to jedna osoba, a pięciu przypadkowych krzywdzicieli tworzy jedną rodzinę.

Inspektor Goole przychodzi po to, ba zestawia łańcuch wydarzeń, które doprowadziły młodą dziewczynę do samobójstwa. Ze śledztwa dowiadujemy się, iż jakaś Ewa Smith, wyrzucona z pracy w fabryce (papa) po kilku miesiącach nędzy uzyskała szczęśliwie posadę w magazynie mód, skąd wyleciała na skutek kaprysu jednej z klientek (córka). Po tym fakcie Ewa zmieniła nazwisko i zawód. Spotkawszy w nocnym lokalu młodą dziewczynę (narzeczony), broniącego ją od zakusów oblesnego pijaka, uwierzyła w dobroć obrońcy, została jego kochanką, następnie porzucona stoczyła się jeszcze niżej, po pijanemu zgodziła się na przyjęcie do swego pokoju na noc innego ado-

nisa (syn), zaszła w ciążę, a dowiedziawszy się od amanta, iż pieniądze, które on chce jej ofiarować pochodzą z kradzieży, odrzuca je i szuka pomocy w instytucji filantropijnej (matka). Nie uzyskawszy tej pomocy popełnia samobójstwo.

Śledztwo prowadzone jest tak sprytnie, iż każdy ze sprawców przyznaje się do popełnienia zarzucanych mu czynów. Powstaje konsternacja i zamieszanie. Powody rozterki są różne u każdej z badanych osób. Papa uznaje fakty, nie widząc w nich winy. Podobnie myśli matka i niedoszły zięć. Intencją tych trojga jest chęć wybrnięcia z niemiłej opresji bez kompromitacji (Arthur Birling w pewnym momencie daje niedwuznacznie do zrozumienia, iż gotów jest ponieść jakąś ofiarę pieniężną na rzecz inspektora byleby cicho, szanownie...).

Jedynie Sheila i Erik błędy swoje traktują serio. Zabiło w nich serce, w którym jednocześnie powstaje coś w rodzaju piękła, bo przecież występki są nie do odrobienia — ofiara już nie żyje.

Inspektor, spełniwszy swoje zadanie, i wygłosivszy na odchodnym dłuższe kazanie grzesznikom skruszonym z różnych powodów, znika jak sen. I był to dla rodziny Birlingów chyba naprawdę jakiś przykry sen tylko, bo za chwilę, dzięki przytomności umysłu Geralda, okazuje się, że inspektor Goole nie istnieje, że żadna dziewczyna nie popełniła samobójstwa. I znowu mama, papa i Gerald uważają sprawę za załatwioną. Skłonni są, jak im cynicznie powie córka, uznać się z powrotem za „przyzwolonych i porządných ludzi”, a tylko w duszach Sheili i Eryka pozostaje osad męki, zdolnej wy-

prostować ich nieciekawe dotąd życie. W chwili gdy zasada dbania o samego siebie odnosi pozorny triumf nad świadomością błędu odzywa się telefon, a z niego płyną słowa: przed chwilą w drodze do szpitala zmarła pewna dziewczyna — inspektor policji przybędzie za chwilę. Jest to symboliczne ostrzeżenie: nie cieszyć się zbytnio, to o czym była mowa, może na prawdę zdarzyć się każdej chwili.

Na tym sztuka się kończy.

Teatr Polski przykładą olbrzymią wagę do każdej ze swoich premier. Chcielibyśmy podejść do nich równie skrupulatnie i równie serio. I tu trzeba szukać przyczyn tak długiego sprawozdania. Aby omówienie zarówno koncepcji sztuki, jak i jej realizacji nie zawisło w próżni, trzeba było tym razem zacząć od dość szczegółowego przypomnienia treści.

Myśl J. B. Priestley, a wyłożona w tej sztuce jest bardzo prosta: ludzkość składa się z dwu warstw. Pierwsza z nich to krzywdziciele, druga krzywdzeni. Pierwszą grupę stanowią kapitaliści, ludzie bez skrupułów, ludzie, myślący tylko o sobie, ludzie, którzy będąc w swoim przekonaniu godnymi szacunku niczym się właściwie nie różnią od przestępców, a druga grupa składa się z wyzyskiwanych robotników i dziewczyn typu Ewy Smith.

Inspektor Goole jest uosobieniem sprawiedliwości społecznej, on wykląda na scenie ideę Priestley'a. On ma obudzić sumienia Sheili i Eryka i on ma zagrozić niepoprawnym, a zatwardziałym w swych wadach rodzicom i Geraldowi twardą przestroga: jeśli dzisiejszy wieczór niczego was nie nauczy, może przyjść taka chwila, „kiedy we krwi i ogniu zrodzi się nowy świat”.

Uznając w pełni wszystkie zarzuty Priestley'a wysunięte bardzo mocno pod adresem Birlingów i Croftów, widzę w sztuce niebezpieczną, bo zbyt kraciową pointę i widzę dalej, że poniesiony temperament autor przeszedł w pewnym momencie ze spokojnej publicystyki w demagogię. Sztuka Priestley'a powstała, jak nas uświadamia w programie tłumacz w roku 1945. Groźenie światu własnie w tym roku krwią i ogniem wygląda na złośliwą ironię. Boję się, że ta ponura groźba znacznie mniej poskutkuje, niż próba przebudowy świata na podstawie wychowania społeczeństwa w zasadach etyki i moralności.

Metoda rozwiązań konfliktów społecznych drogą rzezi, drogą krwi i ognia wiedzie ludzkość — krótką drogą do zguby. Marna by to była sprawiedliwość za taką uzyskaną cenę.

W demagogicznym zapędzie J. B. Priestley świadomie przestaje być bezstronnym.

Podobnym do Birlingów byłby każdy, kto by próbował ich bronić. Nie mam zamiaru wybielać tych szkodników, ale raz mnie z drugiej strony brak oceny Ewy Smith. Gdyby każda pracownica najniebezpieczniej w świecie zwolniona z posady chciała szukać wyjścia z kłopotów w barze hotelu „Palace” i w ramionach Geraldów (na trzeźwo), później Eryków (po pijanemu), świat zatopiłby się w odmętach prostytucji. Powierzchność gmatwa tu niepotrzebnie słuszne zarzuty.

Jeśli się mówi, że istnieją setki tysięcy takich panien Smith, to przykład jest zły, społecznie niebezpieczny, bo nieprawdziwy, a jeśli byłoby inaczej, jeśli by istniały setki tysięcy panien Smith było na świecie, to z równą grozą należałoby nad tym zjawiskiem załamywać ręce, a źródła tragicznego stanu rzeczy dopatrywać się nie tylko w nieludzkim postępowaniu Birlingów.

Słuszna, ale niestety wypaczona nieco w dwóch wyżej wymienionych punktach koncepcja Priestley'a w ujęciu scenicznym nie znalazła swego właściwego rozwiązania.

Błąd zaczyna się od tego, iż na scenie mówi się tylko o tym co było. „Pan inspektor przyszedł” — to nie jest sztuka z tezą, to jest raczej inscenizowany artykuł publicystyczny, doprowadzony w punkcie kulminacyjnym do demagogii.

W technice kompozycyjnej Priestley popełnił wiele rażących błędów. Za wyjątkiem kilku scen cały czas trwania sztuki jest badaniem poszczególnych winowajców. Są to dialogi inspektora policji z podsądnym — reszta kibicuje i prawdę powiedziawszy nie wie, co ma ze sobą robić. W trakcie zeznań matki stało się jasne zarówno, kto jest końcową przyczyną nieszczęścia Ewy, jak i zakres winy ostatniego jej kochanka. Badanie Eryka było już zupełnie niepotrzebne. Rekapitulacja oskarżyciela, dokonana przed odejściem, ponowne wykazanie każdemu jego winy, wstawione było chyba tylko dla przedłużenia czasu trwania sztuki.

Sztuka Priestley'a przedstawia dla reżysera trud nie do przebycia. Nie sposób wybrnąć z tej matni. Nawet taki spec, jak Zelwerowicz, nie tu nie poradzi. Na scenie ciągle sterczy szereg manekinów, ledwie od czasu do czasu wkraczających, (aby nie zasnąć i nieco usprawiedliwić swoją obecność) w akcję. Z tych to kłopotów powstał zapewne nonsens rażą-

cy: pod koniec badania Sheili, na kilka minut przed wejściem w akcję Geralda, nie wiem kto: autor, czy reżyser, aby podkreślić mocniej to jego wejście, kazał mu wziąć do ręki i przeglądać jakiś ilustrowany magazyn.

Wypuszczenie pisma z rąk ma podkreślić zdenerwowanie. No tak, wszystko to ładnie i pięknie, ale wątpię, by przeciętny narzeczony mógł spokojnie przeglądać naciekawsze nawet pismo wówczas, gdy o krok dalej jego narzeczona przyznaje się do popełnienia bardzo nieładnego czynu. Nie przesadzajmy w ocenie angielskiej flegmy.

Przekład Józefa Brodzkiego nie jest wolny od usterek. Zbyt wiele tłumaczeń dosłownych, niemiłe brzmiących po polsku.

Bez zarzutu spisał się Mieczysław Nalewajski, autor pięknych, bogatych i stylowych dekoracji, no i aby całość tego olbrzymiego sprawozdania miłym zakończyć akcentem, wszyscy wykonawcy.

Kreację na miarę niecodzienną stworzyła Maria Dulęba (Sybilla Birling). Ożywiła swoją osobą spektakl w sposób znakomity. Gdyby nie ona, wydaje mi się, że sztuka byłaby przez swą nieporadność strukturalną nie do zniesienia. Każda mina, każdy gest Dulęby, sposób wypowiada-

nia słów przyniósł momenty wytechnienia.

Aleksander Zelwerowicz (inspektor Goole) miał rolę (poza końcowym kazaniem) najwdzięczniejszą: okraszona maestrią i talentem budziła sympatię dla samej sylwetki i najszersze uznanie dla wykonawcy. Z małego rekwizytu, z lorgnon, potrafił Zelwerowicz uczynić narzędzie o dużej i silnej wymowie. Lorgnon decydowało o wielu sprawach, dziejących się na scenie. Niestychanie dyskretny sposób bycia wpaniale podkreślał niecodziennosc postaci iluzorycznego inspektora.

Franciszek Dominiak (Arthur Birling) i Mieczysław Milecki (Gerald Croft) musieli ucieleśniać postacie bardzo papierowe. Sytuacja ich na scenie czasem była naprawdę tragiczna. Siedzieć spokojnie — źle, stać spokojnie — źle, chodzić też niedobrze, mówić? — kwadransami autor nie pozwalał. Dominiak wybrnął z kłopotu znacznie lepiej, Milecki zgubił się prawie zupełnie. Inna sprawa że całą postać Geralda postawił fatalnie sam autor. Dla mnie osobiście jest to największa -kreatura Przecież potrafił w ocenach końcowych zagłuszyć własne serce, które na moment (w czasie badania: bezpośrednio po nim) odczuwało się jakimś uczuciem. Dziwię się, iż właś-

nie jego wybielał zarówno inspektor, jak i Sheila.

Justyna Karpińska (Sheila Birling) pojęła swą rolę właściwie. Niektóre momenty zagrała w sposób godny podziwu. Jej słowa! — „Więc znów jesteśmy przyzwoitymi, porządnymi ludźmi” wywołał na premierze burzę oklasków, nie tylko ze względu na doskonałe spięcie treściowe, ale i ze względu na sposób, w jaki ta chłopszczyzna ironia rzucona została w twarz rodzicom.

Czesław Wołłejko (Eryk Birling) trochę zanadto egzaltowany przejął się rolą szczerze Zdenerwowanie okazuje się niekoniecznie nieopanowanymi ruchami

Czytelnikom, którzy w tej chwili pytają: „Więc właściwie warto, czy nie warto obejrzeć odpowiadam nie słychanie prosto: Do teatru zawsze nie tylko warto, ale trzeba iść. Gorsza historia z pytaniem, czy wystawienie tej sztuki spełnia postulaty postawione pod adresem teatrów przez Prez Bieruta we Wrocławiu. O tym pomówimy na zakończenie sezonu. Gdybym był złośliwy, powiedziałby, iż Arnold Szyfman lansując priestleyowskie rodzenie się dobrego świata we krwi i ogniu i jest zwolennikiem trzeciej wojny. A kysz!

Mieczysław Markowski

Zygmunt Lichniak

POWIEŚĆ REMBEKA

Książka Stanisława Rembeka*) oczekuje na szczegółowe omówienie i rzeczową — co w polskich stosunkach publicystyczno-literackich jest niewątpliwie sprawą trudną — dyskusję. Wjele się mówi ostatnio o Remboku, wlicza się go wśród najwybitniejszych pisarzy katolickich, w jednym w artykułach został nazwany — bądźmy szczerzy, trochę przesadnie — polskim Camusem — lecz o książce, która stanowiła podstawę tych sądów — głucho.

A książka to niewątpliwie ciekawa. Uchylając się od stwierdzenia, czy popiera ona, czy też oskarża o przesadę wypowiedziane na temat autora uwagi, postaramy się zsumować wnioski, jakie nasuwają się po jej przeczytaniu.

„Wyrok na Franciszka Kłosa” jest dowodem wielkiego umiaru pisarskiego. Aby uniknąć nieporozumień, postaram się wyjaśnić, co przez ten termin rozumiem.

Ostatnia wojna z potworną wielością zjawisk w niej zawartych, stawia pisarzy naszych czasów przed wielką pokusą. Prowokują żywotnością swej krytyki i problemów do niewyrzekania się któregoś z nich, do próby ujmowania całości, do monumentalnych przekrojów pionowych poprzez wszystkie lata i wszystkie warstwy zjawiskowe tego wielkiego wydarzenia. Pisarzowi żal wspaniałych możliwości zawartych w próbie przedstawienia całokształtu; przeżyta rzeczywistość wojenna naciska na niego domaganiem się pełnego, realnego i głębokiego wyrazu. Trudności, jakie napotyka się w poszukiwaniu tego wyrazu, obejmującego we wszystkość wojenną, zdają się być w świetle dostępnych nam już faktów pisarskich, dotychczas nie do pokonania. Dotychczas próby objęcia jedną kompozycją powieściową olbrzymiej złożoności okresu wojennego są marzeniem sił na zamiary.

Ulegali jednak tej pokusie pisarze różnej miary, stare wygi literackie i debiutanci. Różne były wyniki ich walki z tak olbrzymim tematem.

*) Stanisław Rembek „Wyrok na Franciszka Kłosa”, Warszawa, 1947, Biblioteka Prozaików Polskich, wyd. E. Kutšana, str. 201.

Fuzakowska ze swoim „Miejsem wśród ludzi” wyszła pokonana, Dobrzański z „Najeżdźcami” stoczył walkę ciekawą, szalenie odważną, ale pełnym zwycięstwem także pochwalić się nie może. (Omówię zresztą tę sprawę w przygotowanym artykule o „Najeżdźcach”, gdzie dokładniej potrafię określić i umotywić swoje stanowisko). Przewidywali pewnie takie losy trudnych walk inni, bardziej ostrożni i mniej odważni pisarze. Ominęli wojnę. Wzięli ją za tło swoich przedwojennych spraw, przedwojennych tematów, przedwojennych ludzi. Poszli drogą najmniejszego oporu. Przykładem może tu być Stanisław Dygata ze swoim prześlizgniętym, kapitalnym, rozkosznym „Jeziorem Bodeńskim”.

Ofiarowawszy mu aż trzy szczerze i zasłużone przymiotniki, zgodzić się trzeba, że była to droga łatwa i — nie wymagająca wielkiej odwagi pisarskiej. Pozostawało trzecie wyjście, zdaje się, że jedyne i najlepsze. Wybrała je większość pisarzy z umiarem, pisarzy, których odwaga nie chce być ślepa, którzy mierzą zamiary według swoich sił, a nie odwrotnie. Andrzejewski, Żukrowski, Pruszyński, Rudnicki, Zawieyski, Otwinowski — specjalnie zrywam w tym wyliczeniu z tradycjami alfabetu, geografii wyznaniowej czy katalogu wartości, który układa ręka przypadku, gustu lub uprzedzeń obozowych. Do nich dołączył się Rembek. Jak oni, nie całość, a wyćinek, nie wszystko, a wyodrębniony zespół zagadnień, nie ludzkość czy naród, ale ludzi wziął za przedmiot swojej obserwacji, uczynił podmiotem swej koncepcji literackiej.

Umiar pisarski Rembeka góruje jednak pewną swoją cechą nad innymi. Autor „Wyroku na Franciszka Kłosa” w dbałości o możliwie doskonałe zrealizowanie planu, w obawie, aby zamiary nie przerosły w niczym możliwości, w trosce o jak najlepsze reprezentowanie uprawianego przez siebie rzemiosła, poszedł jeszcze dalej po linii umiaru pisarskiego. Zespół zagadnień ograniczył do jednego, zrezygnował z szeregu kłopotliwych postaci na rzecz jednostki, która ma to zagadnienie ilustrować, nakazał niejako swej energii arty-

stycznej i poznawczej miast dążenia wszerg, drażnienie w głąb, do samego niemal dna problemu.

Postawę tak daleko posuniętego umiaru potrafił konsekwentnie w powieści swojej zrealizować. Wysiłki tej konsekwencji okazały się w skutkach błogosławione. Po pierwszym czytaniu powieści Rembeka czytelnik musi uderzyć kryszałową jej czystości kompozycyjną. Drugie i dalsze czytania umacniają to wrażenie. Nie odrywa naszej uwagi od Franciszka Kłosa. Jest on wszędzie punktem kulminacyjnym, ośrodkiem naszego zainteresowania, obiektem skupiającym na sobie wszystkie wypowiedzi, niedomówienia, marginalne nawet dygresje autora. Ma się wrażenie, że wszystko, co się dzieje, dzieje się jeśli nie przez niego to na pewno dla niego. Obiektywnie — wrażenie błędne. Subiektywnie jednak, z „kłosowego” niejako punktu widzenia zupełnie słuszne i umotywowane psychologicznie. Franciszek Kłos i problem jego zdrady stanowi zwarte centrum powieści, więcej: wypełnia szczerlnie całą powieść. A przecież wprowadza do niej Rembek klikanaście postaci drugoplanowych. Mimo mocno zarysowanych wśród nich charakterów, mimo ich odrębnego klimatu moralnego, a może właśnie przez to, nie istnieją one poza Franciszkiem Kłosem, ważne są i uchwyte tylko dzięki niemu, tylko wtedy, kiedy kontrastują z nim lub kiedy go uzupełniają. Sam autor, występujący przeciw w powieści, jako uczestnik dziejących się w niej wydarzeń jest tak doskonale zakomspirowany, tak dyskretny i dalekoplanowy, tak doskonale gra rolę szarego obywatela prowincjonalnej Brodnicy, że uzyskując przez swoją fizyczną bliskość*) — bezpośrednio i realistycznie ujęcie relacjonowanych przez siebie wydarzeń, nie zasłania ich sobą, nie każe nam — zdawałoby się — patrzeć swoimi oczyma. Przez cały czas widzimy jak na dłoni tylko Franciszka Kłosa. Nie tracimy go z oczu ani na chwilę. Nawet rozdział poświęcony „zlikwidowaniu” Kranza pełen jest Kłosowej

obecności, dusznej, przynębiającej grozy, która go otacza. To zsyntetyzowanie wszystkich wydarzeń w osobie głównego bohatera, to nadmierne może nawet wyróżnianie jego sylwetki, tworzenie dla niego specjalnego tła, arcytroskliwe wystrzeżenie się przed zerwaniem z nim choćby na chwilę kontaktu, ma swoje głębokie, artystyczne i psychologiczne całkowicie umotywowane podstawy.

*) Bardzo ważną dla percepcji każdego utworu.

Rembek zmusza nas w ten sposób do wnikania w Kłosa, a przez niego — bo jest on przecież tylko skonkretyzowaniem pewnego zagadnienia — do wnikania w sedno rzeczy, w trudny, zawiły i bolesny problem zdrady. Myśl czytelnika nie znajduje ucieczki w żadnej akcji ubocznej, odpożyczku w żadnej dygresji, usprawiedliwienia przedwczesnej kapitulacji w żadnym labiryncie. Pociągnięta już od pierwszej strony książki haczykiem zainteresowania dążyć musi za tragicznym bohaterem w coraz wyrazistsze konflikty, w coraz beznadziejniejsze zbrodnie, w coraz głębsze pokłady problemu. Aż się dokopie na ostatniej stronie do rozwiązania, albo — żeby się oględniej wyrazić — do próby rozwiązania. Ta władza nad czytelnikiem, to jest osiągnięcie, które — abstrahując od rozwiązań podawanych przez Rembeka i od jego busoli ideologicznej — może i musi być uważane za zapowiedź ciekawego i twórczego w naszej literaturze powojennej zjawiska.

Uzyskawszy dzięki świetnie zorganizowanej akcji powieściowej, dzięki idealnemu niemal zestrojeniu tła, oraz drugiego i trzeciego planu z postacią pierwszoplanową, nie spotykana u innych pisarzy wyrazistość, a nie sprzedawszy za nią ambicji artysty, nie splamiwszy się tak bliskim właściwie wirtuozem prostoty, prymitywizmem i prostactwem, rozwiązuje Rembek zamierzony problem w sposób oryginalny i odkrywczy.

Wykroił on swemu bohaterowi olbrzymi płat świadomości. Zostawił ten jej strzępek, jaki był konieczny, aby Franciszek Kłos wiedział, że jest Franciszkiem Kłosem.

że mieszka w Brodni, pracuje w polacji, spełnia rozkazy okupanta, że zagraża mu śmierć, że inni ludzie postępują trochę inaczej, niż on. W pozostawionym po tej operacji, którą autor przeprowadził przed pierwszą jeszcze stroną książki, strzępku świadomości nie ma jednak miejsca na świadomość przynależności narodowej, na świadomość wyznawanej religii i konsekwencji ich praw. Zabrał mu to bezlitosny autor wraz z amputowaną częścią. I każe patrzeć czytelnikowi na smutną postać, która rzuca od brzegu do brzegu instyktami zakorzenionymi w podświadomości, męczy się, nie należąc do żadnego narodu, nie czerpiąc sił z żadnej religii. Bo spowiedź Kłosa, jego pokomunijny spokój były tylko chwilową przewagą jakiegoś lepszego instyktu, nie były, bo być nie mogły, aktem świadomości.

Franciszek Kłos nie myśli. Franciszek Kłos ma wizje. Zmory, polipy ssące, strzygi dławią go i duszą. Gdy w pozostawionym mu przez autora bolesnym strzępku świadomości zadrza jakieś zerwane w ope-

racji włókna, przypomni utraconą część i zawarte w niej wartości — Franciszek Kłos zalewa się wódką, oparem odurzenia odgradza się od resztek świadomości, nieszczęsny człowiek skazany na życie instyktami tylko, na niewydobyte się z podświadomości, przedludzkie niejako stanów.

Przypomnijmy sobie Kłosa mordującego kilka osób, wprawiającego swoim bestialstwem w zdumienie nawet Niemców; przypomnijmy sobie Kłosa, który wszedłszy — jakby się zdawać mogło — na drogę poprawy, w czasie strzelaniny wynikłej przy egzekucji staje przeciw partyzantom polskim po stronie niemieckiej; przypomnijmy go sobie wreszcie żłopiącego wódkę, terroryzującego miasteczkową ludność, chełpiącego się swoją władzą. Możemy to wszystko zrozumieć wtedy i — chyba nie będzie to pewnością nieostrożnością — tylko wtedy, gdy pamiętamy o operacyjnym zabiegu, jakim na tym nieszczęśniku dokonano: wykrojono mu płat świadomości z pojęciami narodu, religii, ludzkości. A instynkty nie znają

tych pojęć, dla instyktów nie istnieją prawa dla nich i przez nie stworzone. Kłos staje się symbolem nieszczęścia nieświadomości, krzykiem o mocną, rzetelną budowę tego, czego w nim brak: pełnego, świadomego nadzędności pewnych pojęć człowieka. Wpatrzeni w okropną nędzę Kłosową pełni jesteśmy wstrętu i żalu, pełni zrozumienia dla wartości tych pojęć. I to jest pozytywna, wielka — szczególnie po ostatniej wojnie — wartość negatywna stworzonego przez Rembeka i bardziej beznadziejna, bolesna jest szarpanina tamtego człowieka, tym pełniejsza nadziei i tym radośniej wiara nasza w obce mu wartości, których brak degraduje, unicestwia, uśmierca duchowo.

Przypomnijmy sobie jeszcze ten spokój, radość i pozorne uczucie czanie się Kłosa, gdy wielka w swej pysze i okrucieństwie łaska niemiecka dokonała na bolesnym strzępku Kłosowych resztek świadomości nowej operacji, gdy Kłos uzyskał obywatelstwo niemieckie, gdy poczuł się bogatszy o tragiczną, co prawda, w swoich konsekwencjach, i sztucz-

ną ale napawającą ludzkim już uczuciem przynależność narodową.

Widać tu jasno, że życie poza świadomością tych pojęć, jest życiem zwierzęcym, dla człowieka, który przeczuwa choćby swoją człowieczość, męką nie do zniesienia. Widać jasno, że świadomość przynależności narodowej nie wystarcza. Miał ją, chociaż w podłym gatunku, Kranz, mieli inni gestapowcy. Pojęcie religii i ludzkości było im obce. I dlatego mordowali.

Rembek stawiając przed nami problem Kłosowej zdrady, stawia jednocześnie problem znacznie większej i głębszej miary: problem re-stytuowania, całkowitej rehabilitacji tamtych trzech pojęć nadrzędnych. Robi to bez emfazy i taniego patosu, możliwe nawet — i wcale to nie będzie paradoksem lub dla autora kamieniem obraży, że robi to mimowoli, pod wpływem ustalonych w nim, własnych jak jego krew, dusza i ciało — wyższych nakazów.

Na tym polega wewnętrzna katolickość książki Rembeka, jej ponadczasowe i — jeśli można tak tę war-

tość wyrazić — ponadartystyczne znaczenie.

Dla uzupełnienia uwag podyktowanych chęcią sprowokowania szczegółowych i gruntowniejszych, niż powyższe omówień, wolno chyba dodać jedno zastrzeżenie, niejako w post-scriptum.

Styl Rembeka, klarowny i sugestywny, ma jednak jedną — przypuszczam, że można to tak określić — wadę. Zbyt mało posiada znamion indywidualnych. Jest wyprany, czysty, potoczny, kronikarski. Dziennikarski niemal. W najlepszym zresztą tego słowa znaczeniu. Ale Rembeka, który tak świetnie występuje jako Rembek w kompozycji, w stylu, w języku jego powieści nie widać. Przedwczesna to może uwaga, przedwojennej jego książki nie znam, a jedna pozycja nie upoważnia do zabierania w tej sprawie głosu. Jednak, jeśli można było mówić o stylu Zukrowskiego czy Brezy, Brandysa czy Kisielewskiego, w czasie, gdy jedną tylko książkę mieli za sobą, o Remboku tego powiedzieć się nie da.

Zygmunt Lichniak

Z zagadnień gospodarczych

Polski węgiel a „Raport Szesnastu”

Pomimo wszechstronnego omówienia na łamach prasy znaczenia i roli węgla w odbudowie kraju, zagadnienie to jest nadal aktualne i nic nie tracąc na swej ważności. Nie jest bowiem pustym sloganem, że węgiel jest „czarną walutą” Polski. Cyfry mówią za siebie.

Jeżeli w roku 1938 Polska produkowała 38 milionów ton węgla rocznie i eksportowała 12 milionów ton — produkcja w r. 1947 wyniesie 47 milionów, a w roku przyszłym osiągnie 68 milionów, eksport zaś w tych latach wyniesie 19 i 30 milionów ton rocznie. W ten sposób Polska znajduje się pod względem produkcji na trzecim miejscu wśród państw europejskich (po Wielkiej Brytanii i Niemczech), a w eksporcie ustępuje tylko Niemcom. W roku bieżącym główną rolę w eksporcie odgrywa Związek Radziecki (40 proc. całego eksportu). W roku przyszłym udział ten ma być zmniejszony do 26 proc. W związku z tym eksport do krajów północno i zachodnio - europejskich, który w bieżącym roku wyniesie około 8 milionów ton wzrośnie w roku przyszłym do 14 milionów ton (dane: dotyczące eksportu J. Litwina — Życie Gospodarcze Nr. 26).

Dane dotyczące dynamiki produkcji i eksportu są ważne, gdyż dają obraz głównych możliwości zdobycia walut potrzebnych do przeprowadzenia odbudowy kraju i zapełnienia braków w zakresie aprowizacyjnym. Znaczenie tych cyfr zostaje potwierdzone faktem, że węgiel jest kluczem do rozwiązania problemu rekonstrukcji gospodarczej wszystkich państw europejskich.

Warto w tym miejscu zwrócić uwagę na niektóre dane Raportu Komitetu Europejskiej Współpracy (wyniki konferencji paryskiej w związku z programem Marshalla), w którym szczególnie obszernie potraktowany został problem węgla.

Pomimo, że szesnaście państw oraz Niemcy Zachodnie produkowały przed wojną 85 proc. ogólnej produkcji węgla w Europie, ilość ta nie wystarczała na pokrycie ich zapotrzebowania (w roku 1938 deficyt wyniósł 10 milionów ton). W tym świetle szczególnie ostro uwidacznia się obecnie istniejący brak węgla, jeżeli w ramach opracowanego przez 16 państw programu produkcji planowane jest osiągnięcie w r. 1948 jedynie 86 proc. poziomu przedwojennego, który to poziom osiągnięty ma być dopiero w r. 1950. a w r. 1955 planuje się jego przekroczenie o 6 proc. (przy czym produkcja Niemiec

Zachodnich osiągnęłyby 87 proc. poziomu przedwojennego, a produkcja innych państw nieznacznie by ten poziom przekroczyła).

Na szeroką skalę zakrojony program rekonstrukcji i zwiększone wskutek tego zapotrzebowanie węgla jest również powodem, dla którego deficyt odnośnych państw będzie na przestrzeni najbliższych lat znacznie wyższy od przedwojennego.

W pokryciu tego deficytu uwzględnia się dwóch głównych eksporterów węgla, tj. Polskę i Stany Zjednoczone, z tym, że Polskę stawia się na pierwszym miejscu jako, że Stany Zjednoczone nie mogą być uważane za normalnego dostawcę węgla dla Europy ze względu na odległość i wynikające stąd wysokie koszty transportu.

Niżej podana tabela ilustruje projektowany przez konferencję udział Polski i Stanów Zjednoczonych w pokryciu deficytu w latach 1948 i 1951 (dla lat 1949-50 wielkości są pośrednie).

Miliony ton	Rok 1948	Rok 1951
Deficyt szesnastu państw i Niemiec Zachodnich	58	37
Import z Polski	17	31
Import z U.S.A.	41	6

Dane powyższe wskazują jak w dużych rozmiarach realizacja planu rekonstrukcji związana jest z węglem polskim. Należy pamiętać, że oddanie pierwszeństwa węglowi polskiemu przed węglem amerykańskim wynika przede wszystkim z odmiennej formy zapłaty. Import ze Stanów Zjednoczonych obciążać będzie bowiem posiadane lub przyznane zapasy dolarowe 16 państw, podczas gdy import węgla polskiego może być zapłacony artykułami przemysłowymi (inwestycje i surowce), których zbyt w Stanach Zjednoczonych byłby wielce utrudniony.

Na marginesie uwag powyższych poruszyć również należy zagadnienie wydajności górnictwa. Planowane wydobycie węgla w okresie czteroletnim oraz osiągnięcie pod koniec tego okresu poziomu przedwojennego zależy od przeprowadzenia przewidzianych przez konferencję inwestycji. Ogólna wartość projektowanych wkładów inwestycyjnych w 16 państwach i Niemczech Zachodnich wynosi 3.563 miliony dolarów, przy czym największe rozmiary osiągnąć mają inwestycje w Niemczech Zachodnich (40 proc. ogółu planowa-

nych inwestycji), a następnie w Wielkiej Brytanii około 30 proc.

Warto tu zacytować obliczenie J. Litwina (w Życiu Gospodarczym Nr 26): „Wartość projektowanych inwestycji w niemieckim przemyśle przekracza 6-krotnie poziom koniecznych inwestycji w górnictwie polskim i wyniesie w okresie czteroletnim 1,83 dolara na tonę wydobycia. Przez przeprowadzenie inwestycji w polskim przemyśle węglowym (220 milionów dolarów) wyrażających się 0,75 dolara na tonę, uzyska się powiększenie wydobycia węgla o 12 milionów ton rocznie”. To znaczy, że w wypadku przeprowadzenia koniecznych inwestycji w górnictwie polskim osiągnęłyby się po-

Problemy żywnościowe Azji, zostały prawie, że całkowicie przyćmione analogicznymi trudnościami Europy, które zaabsorbowały opinię kół gospodarczych świata w związku z rozgosem jakiegoś nabrał plan Marshalla A jednak sytuacja żywnościowa Azji jest bezwzględnie znacznie poważniejsza, niż to ma miejsce w Europie. Już przed wojną niewiele dzieło przeciwnego „Azjaty” od śmierci głodowej. Działania wojenne, które objęły olbrzymie przestrzenie kontynentu pogorszyły znacznie ten stan rzeczy. O ile np. przed wojną Burma, Siam i Indo - Chiny eksportowały swe nadwyżki ryżu w wysokości 7 milionów ton rocznie — obecnie ilość ta spadła do 1,5 miliona ton, co zaostriżyło problem żywnościowy Indii, Malajów i Chin Południowych, które były głównymi odbiorcami ryżu. W Indiach Holenderskich produkcja ryżu spadła o 30 proc., w Indonezji o 20 proc. Ostatnie dane statystyczne wykazują, że przeciwny spadek produkcji podstawowych artykułów żywnościowych we wszystkich krajach na wschód od rzeki Indus i na południe od rzeki Amur waha się między 15 — 40 proc. stanu z roku 1939. W tym samym czasie zaznaczył się dalszy przyrost ludności, który był jedynie hamowany wzrostem głodu i szerzeniem się chorób. Głód jest jednym z czynników który stwarza w Azji bardzo podatny grunt do rozwoju bandytyzmu, zamieszek o charakterze politycznym i socjalnym. Powstaje błędne koło: głód i choroby, które są w dużym stopniu jego następstwem, zmniejszają liczbę osób do żywienia bez zasadniczego zmniejszenia możliwości produkcyjnych tych, którzy pozostali przy życiu, ale wojny i zamieszki wprowadzają nieład w ży-

większenie produkcji o 48 milionów ton w okresie czteroletnim, a przeprowadzając sześciokrotnie większe wkłady w górnictwie Niemiec Zachodnich wzrost produkcji węgla kamiennego wyniesie tylko 60 milionów ton w okresie czteroletnim. W świetle tych faktów nie może być żadnych wątpliwości co do tego, że wkłady finansowe winny być z punktu widzenia gospodarczego w pierwszym rzędzie przeprowadzone w górnictwie polskim.

Ogólnie stwierdzić jednak należy, że tak zwany „Raport szesnastu” u-wypuklił szczególnie dobitnie znaczenie węgla polskiego zarówno dla całej Europy jak i dla samej Polski.

Głód w Azji

Problemy żywnościowe Azji, zostały prawie, że całkowicie przyćmione analogicznymi trudnościami Europy, które zaabsorbowały opinię kół gospodarczych świata w związku z rozgosem jakiegoś nabrał plan Marshalla A jednak sytuacja żywnościowa Azji jest bezwzględnie znacznie poważniejsza, niż to ma miejsce w Europie. Już przed wojną niewiele dzieło przeciwnego „Azjaty” od śmierci głodowej. Działania wojenne, które objęły olbrzymie przestrzenie kontynentu pogorszyły znacznie ten stan rzeczy. O ile np. przed wojną Burma, Siam i Indo - Chiny eksportowały swe nadwyżki ryżu w wysokości 7 milionów ton rocznie — obecnie ilość ta spadła do 1,5 miliona ton, co zaostriżyło problem żywnościowy Indii, Malajów i Chin Południowych, które były głównymi odbiorcami ryżu. W Indiach Holenderskich produkcja ryżu spadła o 30 proc., w Indonezji o 20 proc. Ostatnie dane statystyczne wykazują, że przeciwny spadek produkcji podstawowych artykułów żywnościowych we wszystkich krajach na wschód od rzeki Indus i na południe od rzeki Amur waha się między 15 — 40 proc. stanu z roku 1939. W tym samym czasie zaznaczył się dalszy przyrost ludności, który był jedynie hamowany wzrostem głodu i szerzeniem się chorób. Głód jest jednym z czynników który stwarza w Azji bardzo podatny grunt do rozwoju bandytyzmu, zamieszek o charakterze politycznym i socjalnym. Powstaje błędne koło: głód i choroby, które są w dużym stopniu jego następstwem, zmniejszają liczbę osób do żywienia bez zasadniczego zmniejszenia możliwości produkcyjnych tych, którzy pozostali przy życiu, ale wojny i zamieszki wprowadzają nieład w ży-

cie gospodarcze, powodują dalsze zmniejszanie możliwości produkcyjnych środków żywności. Obserwując tę beznadziejną sytuację, oraz szukając dróg wyjścia mimo woli staramy się dopatrzeć analogii w rozwoju Europy, który wyprzedza stale jeśli nie o kilka wieków to o kilka dziesiątków lat rozwój gospodarczy Azji. Punktem wyjścia jest zagadnienie ludnościowe.

W Europie przyrost ludności przechodził przez kilka faz. Do wieku XVIII dużej ilości urodzin towarzyszyła duża śmiertelność. W rezultacie „go za. udnienie bardzo słabo wzrosło. W drugiej fazie, t. j. w okresie industrializacji zmniejszona śmiertelność przy niesłabnącej ilości urodzin powoduje szybki i duży przyrost naturalny. Następuje wreszcie, obecnie trwająca trzecia faza, w której przyrost naturalny wskutek spadku urodzin maleje i jest tym samym bardziej zrównoważony. Aczkolwiek powyższe uwagi są zbyt daleko idącym uproszczeniem zagadnienia wzrostu zaludnienia, faktem jest że istnieje bezpośredni związek między uprzemysłowieniem a przyrostem naturalnym. Pierwszym bowiem skutkiem uprzemysłowienia się kraju jest spadek śmiertelności (lepsze warunki bytu), a następnie osiągnięty tą drogą wyższy standard życia i w ogóle zamożności powoduje ograniczenie liczebności urodzin.

W Azji obserwujemy analogiczną ewolucję. W poszczególnych krajach Azji przyrost naturalny znajduje się obecnie w różnych fazach.

W Indiach brytyjskich, w ciągu dziesięciolecia 1910 — 1920 przyrost naturalny wyniósł 15%, w Indiach Holenderskich 15%, w Japonii w ciągu ostatnich 50 lat ludność się potroiła. Duży przyrost naturalny wią-

że się z ożywieniem gospodarczym wymienionych krajów. Natomiast mały wzrost zaludnienia Chin na przestrzeni ostatnich dwudziestu lat jest symptomem opóźnienia modernizacji ekonomicznej kraju.

Konsekwencją tego ekonomicznego zacofania, będącego powodem małego przyrostu naturalnego jest łatwiejsza sytuacja Chin w porównaniu do innych krajów w związku z nagłym obniżeniem się po wojnie produkcji podstawowych artykułów żywnościowych.

Problem jest najgroźniejszy w Japonii i Indiach, z tą jednak różnicą, że w przemyśle japońskim problem jest rozwiązany przez Stany Zjednoczone, które dążą do utworzenia z Japonii kolonii, pokrywając jej deficyt żywnościowy. Natomiast w Indiach ostatnie rezerwy dewiz idą na pokrycie importu żywności, będącej pomimo tego niewystarczającym na pokrycie zapotrzebowania „minimum egzystencji”. Obecny chaos w Indiach, brak koordynacji na odcinku gospodarczym nowopowstałych państw Indii i Pakistanu zaciążył fatalnie nad sytuacją gospodarczą. Indyjscy mężowie stanu zaabsorbowani wyłącznie kwestiami politycznymi znajdują się obecnie w obliczu rozwiązania problemu wyżywienia 400 milionów ludzi na terytorium, które nie tylko że nie jest samowystarczalne, ale nie jest nawet w możności zapewnić jako takiego poziomu wyżywienia.

W świetle obecnej sytuacji żywnościowej krajów Azji rzeczą konieczną jest rozwiązanie tych zagadnień na płaszczyźnie międzynarodowej. W przeciwnym bowiem wypadku małe istnieją szansę na doprowadzenie ludów Azji do stanu spokoju. (K.)

Nowość Nowość!

PISMO ŚWIĘTE
Nowego Testamentu

Wstęp, nowy przekład
z Wulgaty komentarz

przez

ks. Eugenjusza Dąbrowskiego

Wydanie podręczne

Albertinum

Księgarnia św. Wojciecha
Poznań-Warszawa-Lublin

Zbrodnia w Dzielnicy Północnej

11

Stefan Kisielewski (Kisiel)

— Jaktó — czyż policja nie ma prawa wglądu w te rzeczy?

— Nie. Jestem rejentem przysięgłym i z dochowania tajemnicy zawodowej może mnie zwolnić tylko Minister Administracji i Sprawiedliwości.

— To ciekawe. Sądze, że otrzymam tego rodzaju upoważnienie od pana Ministra — ale tu chodzi o pośpiech, o niesłychanie ważne sprawy! — komisarz był wyraźnie zdenerwowany, w przeciwieństwie do zachowującego olimpijski spokój rejenta.

— Niestety — litera prawa jest dla mnie rzeczą świętą. Komisarzowi znów się wydało, że w głosie tamtego dźwięczy nieuchwytna drwina. Przeklnął to — był w tej chwili bezsilny.

— A czy mógłbym wiedzieć, jak zadysonował profesor swoimi meblami?

— Owszem, to mogę panu powiedzieć. Zapisuje je dozorczyńni domu, w którym mieszkał, Luizie Lore, tej, która jak słyszę została również zamordowana.

— Ach tak.

Komisarz w milczeniu rozważał tę wiadomość.

— Czy mógłby mi pan powiedzieć cokolwiek o okolicznościach, w których profesor sporządzał swój testament?

— Niestety, to również wolałbym zachować w dyskrekcji.

— Ależ tu chodzi o niesłychanie ważne sprawy — pan hamuje śledztwo! — komisarz powiedział to prawie groźnie.

— Pan wybaczy komisarzu, ale jako prawnik wiem dobrze, co powinienem robić — głos rejenta był teraz lodowaty.

Gromel siedział chwilę w milczeniu. Jasna rzecz — nie ma, tutaj na razie nic więcej do roboty.

— Będę jeszcze u pana — mrknął wstając — wtedy już, sądze, porozmawiamy inaczej.

— Jestem zawsze do usług — rejent podniósł się również — przykro mi bardzo, komisarzu, ale z racji mojego urzędu nie mogę postępować wbrew literze prawa.

— Przecież tu chodzi o dobro państwa.

— Nie wątpię — toteż po uzyskaniu rozzwolenia od Ministra, będę na pańskie usługi.

Komisarz miał ochotę zgrzytnąć zębami, lecz nie uczynił tego. Skłonił się chłodno i ruszył w stronę wyjścia, bezszelestnie stąpając po puszystym dywanie. Drzwi do ogrodu otworzył przed nim wyrosły nagle, jak spod ziemi majestatyczny lokaj.

Jesienne drzewa szumiały z cicha, blask zawieszonych między gałęziami lamp łukowych odbijał się w wilgotnym, lśniącym asfalcie jezdni — w czasie krótkiej rozmowy komisarza z dr Randenem spadł widocznie mały deszcz. Gromel szedł pustymi uliczkami, echo powtarzało jego kroki. Lecz cóż to — czy to złudzenie? Echo wydawało mu się podwójne, jakby ktoś podążał za nim trop w trop, starając się utrafić krokami w rytm jego kroków. Tak — ktoś go obserwował, ktoś mu towarzyszył — nie był to sam. Rozglądał się podejrzliwie, gdy tylko się obejrzał, jakieś cienie nikły natychmiast za rogiem. — Sa, sa — mruczał do siebie bezgłośnie komisarz — mogą mi lała chwila postać kule. Przyspieszył kroku: za rogiem. Lśniące od deszczu, zupełnie bezładnej, obramowanej ogrodami uliczki stała taksówka. Komisarz odetchnął z ulgą. Wsiadając do samochodu rozsejrał się, ale nie zobaczył nikogo. Ulica była zupełnie pusta.

XI.

Pan Minister Administracji i Sprawiedliwości był bardzo znaną w kraju osobistością. Należał do partii Chrześcijańsko-Liberalnej i jako młody adwokat odznaczył się w szeregu procesów politycznych, w których, niestrudzony szermierz wolności słowa i przekonani, wygłaszał, broniąc swych klientów, płomiennie mowy; mowy te odbite w tysiącach egzemplarzy obiegaly później cały kraj. Walczył o prawa mniejszości narodowych, rozwijał dzia-

lność pacyfistyczną, na terenie Parlamentu zasłynął jako najlepszy mówca i stał się przywódcą liberalnej opozycji przeciwko konserwatywnemu rządowi. Do gabinetu koalicyjnego wstąpił w czasie wojny i pozostał w nim aż do dnia dzisiejszego, jako jeden z przedstawicieli najliczniejszej obecnie partii w Parlamencie. Radykalni przeciwnicy zarzucali mu, że aparat policyjno sądowy, czy to wskutek jego nieudolności, czy też zgodnie z jego wolą, funkcjonuje w sposób tak samo bezwzględny, jak za czasów gabinetów konserwatywnych. Przyjaciele tłumaczyli, że słynny szermierz wolności zostawczy ministrem musi dbać o całokształt spraw Republiki i musi, jako chrześcijański humanitarysta, bronić jej przed terrorem, z któregokolwiek by on miał przyjść strony. Podwładni lubili go, gdyż odznaczał się skromnością i mało dawał im się we znaki.

Minister był wątłym mężczyzną około sześćdziesiątki. Twarz miał mizerną i zmęczoną, wysokie czoło poryte zmarszczkami, bródkę nienal siwa. Przemawiał ze wzrokiem spuszczonego, głos jego był przyciszony, mimo to dźwięczny, aksamienny.

Wiemy, że profesor Galard przywiózł z granicy ostatnie ogniwo swego wielkiego wynalazku — mówił. Wynalazek ten, to substancja wysyłająca promienie, za pomocą których w ciągu pół godziny można całą dzielnicę naszej stolicy zamienić w milionowy grób. Odkrycie profesora, po dokonaniu pod jego kierunkiem ostatnich jeszcze, niezbędnych doświadczeń, miało zostać przekazane Państwu. Wiedząc, że profesor Galard otoczony jest przez czyhających na jego wynalazek działaczy nielegalnych organizacji terrorystycznych, otoczyliśmy go ze swej strony siecią agentów policji politycznej, czuwających, pod kierunkiem pana radcy Pikrona, nad każdym jego krokiem; zadaniem ich było również obserwowanie kręcących się około profesora przestępców. Mimo całej naszej przezorności popełniono zbrodnię, później zaś porwano ciało, zapewne w przewidywaniu, że profesor miał ukrytą w ubraniu kartkę, zawierającą wzory chemiczne, określające jego wynalazek. Zrobili to albo mordercy, którzy nie mogli odnaleźć nigdzie notatek, dotyczących wynalazku, albo też ktoś inny, kto dowiedział się o zbrodni. Faktem jest, że w tej chwili życie milionów ludzi znajduje się prawdopodobnie w ręku nieznanego nam zbrodniarza, którzy każdej chwili mogą zrobić z wynalazku profesora Galarda złowrogi użytek. Co prawda, według opinii ekspertów, zmontowanie odpowiednich aparatów potrwać musi dobre parę dni, niemniej bez przesady powiedzieć należy, że śmierć stoi u bram naszej stolicy. W celu uniknięcia popłochu zakazałem prasie podawania do wiadomości opinii pewnych szczegółów sprawy, między innymi faktu porwania przez nieznanego przestępcę zwłok profesora. A teraz...

Minister przerwał na chwilę, rozważając widocznie formę, jaką zamierzał nadać swym dalszym wywodom. Zebrani w pokoju mężczyźni oczekiwali w pełnym napięciu skupieniu. Pułkownik Nord sapnął ciężko, jak wyrzucona z wody foka, groteskowy lecz groźny radca Pikron splótł ręce na brzuchu; wielki, wyniosły mężczyzna, siedzący pomiędzy nimi bebnął palcami po stole — był to Kamil Lorm, dyrektor Departamentu Politycznego. W pokoju znajdował się jeszcze przedstawiciel Ministerstwa Obrony Narodowej, pułkownik w mundurze, przystojny, podobny do koguta, z monoklem w oku i — oczywiście — komisarz Gromel. Pułkownik z monoklem jedyny z obecnych wydawał się nonszalancko roztargniony i mało zainteresowany sprawą, o której mówiono — przeciwnie niż komisarz Gromel, na którego twarzy widoczna była intensywna praca myśli i pełna napięcia uwaga. Co pewien czas komisarz obrzucał bystrym spojrzeniem wszystkich obecnych, zatrzymując szczególnie uporeczywy wzrok na rad-

cy Pikronie, którego lustrował szczegółowo od splecionych na brzuchu rąk (były wyjątkowo małe) aż do czubka tysej głowy. Radca zdawał się tego nie spostrzegać: zezowate jego oczy biegały obłudnie w różne strony.

Minister podjął swoje przemówienie, podnosząc głos i nadając mu zabarwienie lekko patetyczne.

— A więc panowie — Republika znajduje się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, Republika, której wszyscy, w miarę swych sił i możliwości, wiernie służymy, Republika, najbardziej sprawiedliwy i humanitarny ustrój państwowy, jaki wytworzyła ludzkość w ciągu swego wielowiekowego rozwoju. Wiemy dobrze, że nie brak w naszym państwie problemów, oczekujących jeszcze rozwiązania, że istnieją poważne trudności społeczne, że po zakończeniu wojny kryzys i bezrobocie dały się we znaki obywatelom. Wiemy jednak również, że tylko ewolucyjną pracą możemy te trudności pokonać i rozwiązać. Każda próba rozwiązania gwałtownego, skądkolwiek by ona przyszła, pociągnąć musi za sobą terror, falę nieszczęścia i katastrofę gospodarczą, w rezultacie której nędza zwiększy się stokrotnie. Jak wiemy, w podziemiach naszego państwa działają dwie organizacje, zmierzające do dokonania przewrotu drogą gwałtowną. Jedną z nich to nacjonalistyczny związek „Naród Przebudzony“, drugą — rewolucyjno-anarchistyczna partia „Świat Nowy“. Niestety, musimy być przygotowani na najgorsze, to znaczy na fakt, że groźący światu ludzkiemu zniszczeniem wynalazek profesora Galarda znajduje się w tej chwili w rękach któreś z wymienionych dwóch zbrodniczych organizacji. W związku z tym...

Minister podniósł na chwilę powieki i krótkim spojrzeniem jak błyskiem zapałonej nagle latarki powiódł po obecnych Komisarz Gromel zauważył, że wbrew znużonemu wyrazowi wymizerowanej twarzy, wzrok jego był żywy i bystry.

— W związku z tym musimy skoordynować wysiłki wszystkich naszych aparatów bezpieczeństwa, a więc Policji Politycznej, Policji Śledczej i Wywiadu Wojskowego, celem zlikwidowania niebezpieczeństwa. Cieszę się, że ze strony Policji Śledczej mamy tutaj tak wybitnych jej przedstawicieli jak pan pułkownik Nord i pan komisarz Gromel; pan radca Pikron, wieloletni kierownik Policji Politycznej położył wielkie zasługi dla sprawy bezpieczeństwa Republiki, wreszcie pułkownik Hollen jest jednym z naszych najwybitniejszych fachowców w dziedzinie wywiadu technicznego. Proszę więc wymienionych panów o ustalenie wspólnej taktyki celem koordynacji poszczególnych wysiłków, narazie zaś pragnąłbym zasięgnąć od panów informacji co do dotychczasowych rezultatów śledztwa.

Zapanowało kłopotliwe milczenie, nadszły pochrząkiwania pułkownika Norda. Ciszę przerwał dopiero skrzeczący, kłótlivy głos radcy Pikrona.

— Trudno tu mówić o sprawozdaniu z mojej strony, jeżeli od momentu zabójstwa źle poinformowana i nieudolna Policja Śledcza całą swoją działalność sprowadza do tego, aby nam przeszkadzać i lazić po piętach. Ci panowie nie mają pojęcia o koronkowej robocie, jaką prowadzi Policja Polityczna — przyzwyczajeni do ordynarnych zabójstw rabunkowych zachowują się tu jak dzikusy. Zadaję sobie pytanie, czy współpraca z Policją Śledczą jest w ogóle możliwa. Przy dotychczasowym systemie działania możemy bardzo łatwo wszyscy razem znaleźć się szybko na tamtym świecie, jeżeli zamiast myśleć będziemy rzucać się na oślep sami na siebie. Nie wszyscy widocznie nadają się do pracowania mózgiem — niektórzy z obecnych tu wołają...

W tym momencie pułkownik Nord, obawiając się widocznie wypłynięcia kompromitującej sprawy rewizji u radcy zdobył się na heroiczny wysiłek przerwania Pikronowi.

— Pan wybaczy, panie... hum... radco.

ale hum, hum... nasz wydział nie był dotąd poinformowany o... hum... pańskim udziale w śledztwie.

— Nie był poinformowany?! — radca rechotał zjadliwym śmiechem i starał się żaba. To was trzeba o wszystkim informować?! — biedacy, sami nie się nie potraficie dowiedzieć! Może was jeszcze prowadzić za rączkę, może wam napisać raport o sprawowaniu się Galarda o tym, że z niego był zawodowy babiarz, że miał słabość do swojej asystentki, że lubił befsztyki z cebulą! I wy się nazywacie policją?! Węszycie jak psy po całym domu i po mieszkaniu Galarda, kiedy my już dawno wiemy, że żadnych dokumentów dotyczących wynalazku w mieszkaniu nie ma, jak również, że Galard nie nosił ich przy sobie. Proszę mi więc wytłumaczyć, po jakiego diabła porwane zwłoki?!

— Prawdopodobnie słuszna jest koncepcja ekscelencji — przemówił spokojnie komisarz Gromel — że zbrodniarze spodziewali się znaleźć coś w ubraniu profesora.

— Nonsense! prychnął radca, nie zauważając zdaje się, że słowo to dotyczyło wypowiedzi ministra — zresztą w ogóle radca nie wydawał się specjalnie oszołomiony obecnym w pokoju majestatem władzy — przeciwnie niż pułkownik Nord i komisarz. — Mówiłem już panom, że profesor ani nie miał w mieszkaniu, ani nie nosił nic przy sobie — stwierdził mi to z całą pewnością. Zresztą zabójcy mieli chyba dość czasu, żeby przeszukać ubranie Galarda — co innego pan, bo ledwie pan tam się zjawił, już pan miał na głowie worek z chloroformem.

Komisarz zacisnął silnie szczęki ale zachował spokój.

— Przeszukać ubranie nie jest tak łatwo — powiedział — zwłaszcza na stygnących zwłokach — papier mógł być ukryty w podszewce. Przy tym śledztwo okazało, że zabójcy wyszli z mieszkania zaraz po dokonaniu swego czynu; mogło ich coś spłoszyć — na przykład miauczenie kota. Nie widzę też dostatecznych podstaw do przyjęcia założenia, iż zabójcy i sprawcy porwania zwłok to jedni i ci sami ludzie.

Radca zamilkł, jakby nieco zaskoczony. Co widząc komisarz, zrobiwszy ciekawą pauzę, zagrał atutem:

— Jeśli chodzi o porwanie zwłok, to mam już dowody, wskazujące niezbicie, kto jest jego sprawcą i organizatorem.

Oświadczenie to wywołało sensację. Radca Pikron zawrócił zezowatymi oczami, jakby je ciciał skierować w głąb własnej czaszki. Kamil Lorm przyłożył rękę do ucha, niby trąbkę, nawet kogucik pułkownik z wywiadu skierował w stronę komisarza swój monokl. Minister, z cierpliwym znużeniem słuchający dotąd rozwijającej się utarczki słownej spojrzal na Gromela wzrokiem pełnym żywego zainteresowania.

— Historia ta ma jednak charakter dosyć przykry — kontynuował komisarz. Sprawcą a raczej jednym ze sprawców porwania zwłok, jak również zamachu na mnie, który miał miejsce wczoraj, jest jeden z wieloletnich współpracowników Policji Śledczej, człowiek bardzo zasłużony i obdarzony zupełnym naszym zaufaniem. Człowiekiem tym jest...

Komisarz zrobił przerwę, w czasie której wyczuł napięcie, panujące wokół, po czym zakończył sucho:

...doktor Ryszard Alen, kierownik Zakładu Medycyny Policyjnej.

W pokoju zapanowała głęboka cisza, którą przerwał dopiero dźwięk tak niewiarogodny, że komisarz Gromel zadał sobie pytanie, czy przypadkiem nie ulega halucynacji. Dźwięk ten stanowił coś pośredniego między szlochem rozhisteryzowanej kobiety a kaskadami wycia głodnej hieny czy szakała, krzącących w nocy naokoło ludzkiego obozowiska. Wysokość owego dźwięku zmieniała się nieustannie, wibrując w górę i w dół — w dole graniczyła z głębokim brzmieniem puzonu, w górze z najbardziej piskliwymi tonami klarnetu. — Ten człowiek chyba oszalał — pomyślał Gromel, utkwivszy, jak zresztą i wszyscy obecni, wzrok w radcę Pikrona, który miotał się na krześle, bijąc rękami po własnym brzuchu. — Tak — pomimo całej fantastycznej nieprawdopodobności tego dźwięku, nie mogło być żadnych wątpliwości: radca śmiał się, ryczał ze śmiechu, wiał się ze śmiechu.

(c. d. n.)

Janina Siwkowska

„Modą jest znajdować się na drodze, którą pędzi szybkobiegun”

(Warszawa w Roku Pańskim 1825)

Przecie wariacja prawdziwa mia- sto nasze opanowała i wciąż jeszcze ku większej gorączce Publiczność Warszawską wiedzie. Ani już w gło- wie komu Teatr Francuski w Sas- skim Pałacu, ani Narodowy na placu Krasiańskich z widowiskiem obrazo- wym i muzycznym „Salomona przed Bożyszczem” i „Korynny”; ani „Oswo- bódzenie Julii” w Amfiteatrze Ła- zienkowskim; ani Gabinet figur wo- skowych w Budzie Niderlandzkiej, w pobok kościoła Wizytowskiego; ani koncert JP. Jana Bobrowicza, na rzecz ubogich w Towarzystwie Do- broczynności, przez tegoż zacnego ar- tystę na gitarze hiszpańskiej odpra- wiony, na którym to koncercie...! wstydzicie! ledwie osób 30 narachowa- no!... Dewizą uroczych Dam war- szawskich i firycykowatych Dandych na miesiąc wrzesień — „Modą jest znajdować się na drodze, którą pędzi szybkobiegun”.

Oto „Jan Gieryngier, Szybko- biegun, ma honor zawiadomić Prześwie- tłą Publiczność, iż pierwszy kurs rozpocznie dnia 7m. i r. b. o godzinie 6-tej wieczorem, a to od Rogatek Marymontskich, dołem nad Wisłą do Bielani i napowrót górą do Rogat- ek rzeczonych. Kurs ten przeszedł półtory mili wynoszący, w przeciągu 38 minut ubieży; na które to widowi- sko Prześwietłą Publiczność zapra- sza...”.

Tedy jak nie obaczyć kusego niem- czyka owego, który Europę całą prze- mierzył; jak nie obaczyć rzeczono- go Gieryngiera, alias Gierynga, Giery- ka, czy Gerika (jako że on sam owo przewisko swoje bezprzestannie przeinacza), kiedy już we świecie ca-

łym do przysławia nawet szybkość jego przystęp znalazła.

O, przecie nie tak odległymi są cza- sy, kiedy i w Polsce na Laufrach nie zbywało, a starzy ludzie pamię- tają dobrze, jako to jeden z Laufrów dworskich Króla Stanisława Augu- sta — często gęsto z biletem z Zam- ku Warszawskiego do Jabłonny da- wał nogę, a to tam i napowrót we 3 godziny i to po piachach niezmierno- wych. I u hr. Malachowskiego był Laufer stary, zasłużony, który po 60-ce, a jeszcze się założył, że kon- nego jeźdźca przegoni — co też do- kazał. A w szpitalu, u czcigodnych Marcinkanek — to roku 1785, a w dniu 28 kwietnia, zmarł Laufer Bar- tłomiej Wasielewski, przeżywszy lat 103, miesiąc 7 i dni 16. A i tego do późnej starości żaden chłopak nie przegonił.

Przecie tedy i wspomnienia oży- wiają i razem moda najcenniejszy nateraz haracz pobiera.

Tedy w wilię Narodzenia Panny Marii — miast do Karmelitów lub do Fary na nowennę uroczystą — tysią- ce osób prze poza rogatki, na Mło- cińska drogą bieży, aby owego mło- dego heskiego Skorochocha z widoku nie uronić. A pół minuty do owych 36 rzeczonych minut zbrakło, jak już był osypany oklaskami. A umęczo- ny był mniej, niżeli owi galopem mu towarzyszący jeźdźcy. A że się „wspa- niałomyślności Szanownych Widzów” polecił — tedy i pobory do torby owemu obieżyślasowi, czyli obieżyhe- sowi (bowiem w Hesji się rodził) przyszyli niepomierne.

A za powrotem, z laufrowego wid- owiska — jeszcze na balik z ilumi- nacją w Marymoncie, przy Kaska- dzie, gdzie wnijsie zł. 3 (damy bez-

płatnie) i gdzie „Galopada”, to „wy- rodne dziecko Terpsychory i nieo- mylnie przyspieszające zgon młodym amatorom tego niebezpiecznego tań- ca” — najgwałtowniej bywa oddane.

Przecie nóg przyszczędzić potrze- ba na nową promenadę, jako że po niedzieli — biegun — od rogatek Je- rozolimskich susa dawszy do Raszy- na — „tę podróz tam i napowrót ma odbyć w ciągu 113 minut”.

Tedy spektatorowie Kursy widzieć życzący dla ominięcia ciżby przy ro- gatkach — w Hotelu, przy ul. Dłu- giej, bilety za 1 zł., a dla Dzieci — za gr. 15 optacają.

Przezo 13 września, w dzień wtorko- wy, Drogą Jerozolimską landar karet i kabrioletów co niemiara... „Szereg powozów dosięgał od War- szawy aż do Raszyra, co zaiste było pierwszym zdarzeniem. Całą drogę okryła Publiczność, a przed każdą karczmą na trakcie spoczywało wie- le Gości”. Od strojów, woalów, kwia- tów i wszelkiej galanterii aż oczy bolały; a od szumu radosnego i ha- lasu — aż uszy w obrzęk porastały tem ci bardziej, kiedy zabrzmiały oklaski witające owego „ubranego kuso i mającego pióro na kapelu- szu”; bowiem w 90 minut (tedy o 23 minuty rychlej) kurs skutecznij, zabałamućszy tylko nieco w Ra- szynie, a to dla wody szklanką się posilenia. Przecie w tym kursie — to towarzyszący mu jeźdźcy z drogi zawrócili, nie chcąc męczyć koni po- społu z biegaczem galopujących.

A 16 września — taki sam konkurs spektatorów wzdłuż drogi od rogatki Marymonckich do Młocin. A biegun odprawił drogę tam i napowrót w minut 45, a przez całą drogę krzy- czał na gardło całe Viva! witając

pochlebnie przypatrującą mu się Pu- bliczność.

A 21-go Gerig ów wyniósł się aż na Pragę i tam wykonywał kurs od rogatek Gołędzinowskich do Jabłony. Pieszych tysiące, a pojazdów 130 i tam za nim pogało. A dla upału prawdziwie piekielnego — wybiegł popóźnie nieco, tedy o Księżycu był spowrotem. „Publiczność czekała na powrót aż tak późno, i podobno nigdy Gołędzinów o tej porze nie miał ty- le gości; był to widok istotnie „ro- mantyczny”. Przecie tym razem bie- gun, jak poniekórzy „Właściciele Ze garków” orzekli — spóźnił się minut kilka, a „kilka Dam przepowiedziało to opóźnienie, gdyż właśnie przed rozpoczęciem Kursu, za pierwszą Karczmą zajął przebiegł drogę”. A wpół drogi będąc—szykobiegun ów ku ucieście Warszawian dziecię pojął na ręce i ku rogatkom doniósł; a jak się okazało — ogromna to była lalka, która powszechną radość a wesołość zgotowała.

Przecie jeszcze i śmiechu w War- szawie było, bo oto skorochoch — ama- tor, mieszkaniec Krak. Przedmieścia, Krakowianinem się mieniący, wzy- wał Geriga na zawody z Potoku do Bielani, ale warunek nałożył, by z nim niemczyk obiad w Potoku suty zjadł, jako to — barszcz z gęstej ju- chy z kluskami, kwaśną kapustę ze zrazami, popite kielichem todresu, butlą piwa i butlą szampa, a wszy- stko przed drogą przekazane jajem twardym; aby tedy niemczyk od gło- dowania przed kursem raz się wy- zwolił. Przyczem „Krakowiak” przy- oblał odziać się na kurs w ferezję ciężką i buty z podkówkami. A niem- czykowi jeszcze prawil tak (a to dla śmiechu gwarą starą krakowską):

„W Polsce takich Filigrantów (tak Krakowiak nazwa Laufrów) iak WPan, było prawie na każdym dwor- ze, nieraz Rycywól iak ze smyczy pussony leciał dla Pani Kastelano- wej do Warszawy; i Panic kiedy ie- chał w kopercaki, to przed nim, iak ogar iaskrawy, wprzód biegał, — bo inacejby panny nie dostał, żeby Laufra nie miał. Ale Wc. Pan się nie gniewaj, Mościu Lafrzu niemiec- ki, bo to nie o nim mowa, to było za czasów mego Tatula, a Waspar iesce za młody”.

Aż się tedy niemczyk żartami owy mi zawstydzony — Publiczności oś- wiadczal a sumitował, jako „że nie przy poście odprawia Pielgrzymkę”, a wszyscy go mogą w Potoku przy posiłku wizytować a oglądać.

Tedy jeszcze kursów parę niem- czyk odbył; przecie już się był miesz- kańcem Warszawy opatrzył. Bo oto szybkobiegunka, Augusta von Ler- chenstein, niemkini, pojawiła się w Warszawie, kurs robiąc „od rogatek Marymontskich dołem i górą przez Bielani i na powrót w 30 minutach”. Owa zaś Augusta, która już całą Eu- ropę chciwie obleciała, milę w 35 mi- nut odprawiając, do Geriga jest po- równana; „lecz gdy zważemy, że mężczyzna łatwiej do szybkobiega- nia, aniżeli niewiasta może być uspo- sobionym, darować można Pani Ler- chenstein, chociażby w zawodzie swoim, niezupełnie Gerigowi wyrów- nała.

Wkrótce też „może będziemy mieć ciekawy kurs obojga razem, jeśli po- goda usposobi do tego drogę”.

Ani już bowiem być rano, równo ze słońcem w Instytucie Wód Mineral- nych, ani nawet pisać Ballady, jeź- dzić karyklem o jednym koniu, ani ach! jeść obiad o 7-iej z wieczora — nie jest już nateraz rozkazem w „pro grammacie” dnia. Dewizą uroczystą na terażniejsze jesienne dni — „Modą jest znajdować się na drodze, którą pędzi szybkobiegun”.

Janina Siwkowska

Czytelnik uważa że...

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych Czytelników na temat wszelkich zagadnień życia współczesnego, politycznego, społecznego, gospodar- czego i kulturalnego, choćby odbiegające od stanowiska re- dakcji.

Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być po- dane do wiadomości redakcji) oraz nazwą miejscowości. Wy- powiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku. Ze względu na brak miejsca, redakcja zastrzega sobie prawo przeprowadzenia ewentualnych skrótów z zachowaniem peł- nego sensu nadesłanych listów.

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO”

W numerze 47(104) „Dziś i Jutro” ukazał się artykuł p. Mieczysława Kurzyna p. t. „W trosce o młodych humanistów”, artykuł dotyczący Zjazdu Związku Kół Polonistycz- nych, który odbył się w Krakowie w listopadzie b. r. Jako grupa kato- licka Łódzkiego Koła Polonistów, czujemy się w obowiązku poczynienia pewnych sprostowań, w związku z wypowiedzią p. Kurzyna na temat wygłoszonego przez nas na zjeździe referatu p. t. „Z zagadnień reali- stycznej powieści katolickiej”.

P. Kurzyna pisze: „Od dłuższego już czasu jesteśmy świadkami cofa- nia się katolików „na z góry upa- trzone pozycje” wyznaczone jednak nie przez nich samych, a przez ich przeciwników. Jeśli na Zjeździe krakowskim jedna ze studentek łódz- kich opracowała referat o „realizmie powieści katolickiej” (drobna nie- ścisłość, gdyż referat był pracą zbioro- wą grupy, co było w czasie wygła- szania wyraźnie zaznaczone. Przyp. nasz.), było to niewątpliwie ogniwem tego samego procesu. Tu bodajże tkwi to, co określić można mianem katolickiego minimalizmu.” W dal- szym ciągu wypowiedzi p. Kurzyna rozdziera szaty nad „małoduszno- ścią”, „płytkim świętoszkostwem”,

się wyraźnie od poglądów uzależnia- jących dzieło katolickie od doboru tematów i motywów dewocyjnych, czy też warunkujących katolickość dzieła — ortodoksyjną katolickością twórcy.

W analitycznej części referatu sta- raliśmy się dobrać teksty dość róż- norodne, właśnie dlatego, by zade- monstrować owe szerokie, wszech- stronne możliwości jakie stoją przed pisarzem katolickim. Tak więc np. obok powieści Sygrydy Undset — rozpatrywaliśmy jako katolickie dwie powieści Mauriac’a, a jak wiadomo pisarzowi temu zarzuca się często brak postawy katolickiej, głównie z powodu posługiwania się przez niego zbyt minimalną ilością motywów dewocyjnych, nie ukazy- wania postaci świętych, życia po nar- wroeniu i t. p. Sądziłiśmy za tym, że zagadnienie postawione jest dość szeroko.

Dla p. Kurzyna, jak można z arty- kułu wywnioskować, zagadnienie li- teratury katolickiej zgoła nie istnieje, ale to jeszcze nie dowód, żeby jego zainteresowania (czy raczej brak zainteresowań) miały stać się udziałem wszystkich polonistów-katoli- ków. Dla nas (i na szczęście, nie tylko dla nas) zagadnienie to jest bardzo żywe, frapujące, godne aby je zacząć naukowo badać i rozwiązy- wać. W zainteresowaniach naszych nikt nas nie „zapęda do zakrystii”, ani nie namawia „do cofania się na z góry upatrzone pozycje” — jak to sugeruje p. Kurzyna.

I jeszcze jedno: referat nasz był pomyślany jako bardzo nieśmiało za- gajenie dyskusji, nie pretendujące bynajmniej do miana jakiejś nauko- wej wypowiedzi. To podczas wygła- szania tematu wyraźnie było zazna- czone. Nie twierdzimy kategorycz- nie, że mamy rację. Być może, za- gadnienie postawiliśmy błędnie (choć dotychczas — nie dostrzegamy tego). I żałujemy niezmiernie, że

p. Kurzyna nie zabrał głosu w cza- sie dyskusji nad referatem, czy w o- góle w czasie tych trzech dni zjazdu, że nie uważał za stosowne wykazać nam (przy pomocy rzeczowej argu- mentacji), w czym błądzimy. Wów- czas chętnie przyjęlibyśmy poucze-

(Dokończenie ze str. 3)

Te wywody z pogranicza wieczno- ści, choć mało nam zwykłym śmiert- elnikom dostępne, mają, jeżeli tak powiedzieć wolno, tę samą niezach- wianą pewność z jaką Galileusz przed sądem powtarzał „e pur si muove” — (a jednak się kręci) — pewność człowieka, który doświadczył.

Najwyższe stany mistycznego zjed- noczenia oddał święty samotnik na- stępującym zwrotem pieśni:

„...słodkim tchnieniem oddechu Two- jego

..wzniesasz miłości zapal!”

Tu urywa święty — „bo widzę ja- sno, że nie potrafię...”.

V.

Życie Św. Jana od Krzyża było wiernem naśladowaniem Chrystuso- wego żywota — zacytujemy dla po- jobienia jeden epizod.

Gdy Chrystus Pan chleb mnożył towarzyszyły mu liczne rzesze, nę- ciła ludzi perspektywa pożywienia się przy tak wielmożnym Panu, dla- tego pragnęli ukoronować go kró- lem. Kiedy jednak nazajutrz, w Ka- farnau, Zbawiciel wypowiedział niezrozumiałe słowa — „Kto pożywa mego ciała, a pije moją krew, we

nia p. Kurzyna, który być może le- piej, czy głębiej od nas rozumie ka- tolicyzm. Natomiast ataki w tej for- mie w jakiej ukazały się w arty- kule, uważamy za wystąpienie, do- prawdy, nie na miejscu — tym bar- dziej, że wyszły spod pióra brata-ka- tolika...

Łączymy wyrazy głębokiego sza- cunku w imieniu grupy

Danuta Danielewicz
Łódź, dn. 25.XI.1947 r.

Redagują: Bolesław Fiaszek, Dominik Horodyński i Mieczysław Kurzyna.

Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81, m. 13, tel 880 71. Konto PKO — Nr 1-727.
Sekretarz redakcji przyjmuje: codzień, prócz poniedziałków i wtorków, godz. 12.30 — 13.30
Druk. Skolimowska 3.

Wydawca: Kolegium Redakcyjne

Prenumerata miesięczna 60 złotych. Kwartalna 180 złotych
B—1043